Rocznik III. Kraków, 10 czerwca 1898. Nr. 11.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Redaktor Kazimierz Bartoszewicz.

Przegląd wychodzi dwa razy na miesiąc.

Listy, artykuły, książki, należy przesyłać pod adresem Redakcyi.

Przedpłata wynosi:
w Krakowie rocznie 6 zlr. w. a. — półrocznie 3 zlr. — z przesyłką pocztową rocznie 6 zlr. 80 ct. — półrocznie 3 zlr. 40 ct.
Za granicą: rocznie 16 franków, 12 marek, 6 rubli, z przesyłką 7 rs.
Cena numeru 50 ct. w. a.

Ogłoszenia po cenie 10 ct. za wiersz petitowy, za całą stronicę 20 zlr. przyjmuje Administracya.

W Poznaniu skład główny w księgarni J. Leitgebra, w Petersburgu w księgarni K. Grendyszyńskiego.

Adres Redakcyi: ulica Floryjańska l. 41. — Administracya: w księgarni G. Gebethnera i Spółki.

Z dziejów pomnika.

Za kilkanaście dni zobaczymy odsłonięty na rynku krakowskim pomnik Mickiewicza, — jest więc może na czasie przypomnieć jego dzieje. Materyału wystarczyłoby na tom cały, bo dziwne koleje przechodziła ta sprawa. Dwadzieścia pięć lat ubiega od chwili kiedy stanęła na seryo, kiedy posypały się pierwsze składki, będące zawiązkiem funduszu pomnikowego. A przez znaczną część tych lat dwudziestu pięciu, toczyła się koło pomnika walka stronnictw i ludzi. Ze setek pisanych o nim artykułów i kilkudziesięciu broszur sprawie jego poświęconych, możnaby złożyć całą biblioteczkę, a wierszami humorystycznemi wypełnić tom spory. Trzy konkursy dały kilkudziesięciu rzeźbiarzom pole do ubiegania się o nagrodę i jednocześnie pole do zaciętej walki. Komitet wciąż się odmieniał, uzupełniał, wzmacniał, zwężał, rozlatywał. Jeżeli doliczyć do niego znawców krajowych i zagranicznych, różnych projektodawców, rzeźbiarzy, autorów broszur, naczelników opozycyi i t. d. — to moglibyśmy dojść do cyfry kilkuset nazwisk, które w sprawie pomnika pewną rolę odegrały. A po za tymi setkami stały tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi zainteresowanych sprawą i wyjawiających głośno swe zdanie. Nie brakło wieców, protesty sypały się jak z rękawa. Można powiedzieć, że cała inteligencya polska umoczyła swe ręce w sprawie pomnika. Były też dnie katastrof, a zwłaszcza dnie gorączki obejmującej cały ogół. A kiedy wreszcie wszystko ucichło, kiedy znużona „opinja“ pozostawiła rzecz losowi czyli tak zwanemu komitetowi pięciu, kiedy fundusz pomnikowy okazał się wystarczający, kiedy już ostatecznie załatwiono rzecz przez polecenie wykonania pomnika rzeźbiarzowi uznanych zdolności, kiedy jednem słowem przypuszczano, że w ciągu dwóch lat najwyżej pomnik zostanie wykonany i odsłonięty, — zaczęła się nowa serya niespodzianek, która upragnioną chwilę do lat dziesięciu przeciągnęła.

Dzieje pomnika, powtarzam, dostarczyłyby materyału na tom cały. A niebyłaby to powieść nudna, owszem pióro jakiego zdolnego pisarza mogłoby ją w barwne odziać szaty, urozmaicić nad wyraz interesującą charakterystyką ludzi, stronnictw i stosunków. Byłby to przyczynek i do historyi sztuki naszej i do historyi prądów panujących między młodzieżą. Kronika anegdotyczna nadała by temu obrazowi sporo życia i... humoru.

Ale praca tego rodzaju wymagałaby wielu przygotowań. Trzeba byłoby nietylko zbierać żywy materyał z opowiadań osób bliżej zapoznanych ze sprawą, ale przerzucić olbrzymie stosy dzienników dla wyszukania dat, cyfr i ważniejszych szczegółów. I nie możnaby było ograniczyć się na przejrzeniu jednego lub dwóch dzienników z lat dwudziestu kilku, bo nie każdy z nich wszystko notował, a każdy albo opuszczał to co mu było niemiłe, albo rzecz stawiał w fałszywem oświetleniu. Praca to zatem byłaby wielka i niewdzięczna, a choćby, jak mówię, nie była obojętną dla charakterystyki naszych czasów i stosunków, to i tak jeszcze budziłoby się pytanie: czy byłaby na czasie? czy w chwili mniej lub więcej pomyślnego zakończenia sprawy pomnikowej wypadałoby przez szczegółowe przedstawienie jej dziejów, poruszać uspokojone drażliwości i dać powód do polemiki i dalszych swarów? Wzgląd to ważny, który zmusiłby zapewne autora do zatrzymania pracy w tece, aż do czasu, kiedy historya rzeczywiście stałaby się historyą, to jest opowiadaniem o latach dawnych.

Zadanie niniejszego artykułu jest skromniejsze. Pragnie on krótko opowiedzieć jak to było, zanim komitet krakowski wybrany do obchodu setnej rocznicy uro-

dzin, Mickiewicza mógł uroczystość tę połączyć z odsłonięciem pomnika. Autor polega przedewszystkiem na własnych wspomnieniach, bo chociaż do komitetu pomnika nie należał, interesował się jednak szczerze jego sprawami już przez to samo, że przypadek postawił go w gronie tych, co pracowali koło jego fundamentów. Dalej jako publicysta, a zwłaszcza korespondent pism zamiejscowych, autor miał obowiązek zawiadamiać szerszy ogół o każdem stadium tej sprawy i nie wstydzi się bynajmniej, że piórem swojem zagrzewał do walki, że stwarzał opozycyę, że niejedną przykrość wyrządził komitetowi pomnikowemu, — miał bowiem to silne przekonanie, że bronił dobrej i słusznej sprawy, że przeszkadzał niewłaściwym pomysłom, że w wielu razach był owem małem kółkiem, które maszynę opinii w ruch wprowadzało...

Oprócz wspomnień własnych, autor w niniejszej drobnej rozprawce posługiwał się datami czerpanemi ze sprawozdań komitetu pomnikowego i krakowskiej Czytelni akademickiej. Zaglądał też do dzienników i do notat własnych, nie gardząc wreszcie szczegółami zaczerpanymi od osób wiarogodnych a kompetentnych. Chociaż unikał poruszania drażliwości, musiał ich przecież czasami dotknąć, przypuszcza jednak, że uczynił to w sposób taki, iż nikt nie powinien uczuć się osobiście dotkniętym.

Myśl postawienia pomnika Mickiewiczowi pojawiła się zapewne już na pierwszą wiadomość o jego śmierci, a nie powstała w głowie jednostki, ale tych wszystkich co odczuwali potrzebę zamanifestowania w ten sposób uczuć całego ogółu. Najlepszym dowodem, że tak było, jest pomnik Mickiewicza w Poznaniu. Już na nabożeństwie żałobnem za Mickiewicza (15 stycznia 1856) zebrano pierwsze składki. Wielkopolska była wówczas jedyną dzielnicą, która myśl tę w czyn zamienić mogła, a i to nie bez trudności czynionych ze strony rządu, — jak wiadomo bowiem dopiero głos posła Bentkowskiego w sejmie pruskim uchylił zakaz władz poznańskich[1]).

Początek ery prawdziwie konstytucyjnej w Galicyi był poniekąd i początkiem pomnika Mickiewicza w Krakowie. Zrozumiano, że nadeszła chwila, z której korzystać należy, aby okazać wdzięczność narodową wielkiemu poecie i obywatelowi. Niesposób naturalnie dziś dowiedzieć się kto pierwszy myśl rzucił, ale widocznie grunt już był przygotowany, widocznie sprawę pomnikową omawiano już w kołach lwowskich, kiedy znany historyk Henryk Szmitt mógł ją podnieść na bankiecie danym we Lwowie na cześć Karola Libelta (12 kwietnia 1869). „Jeśli naród ma żyć — mówił — powinien czcić swych wielkich ludzi... Złóżmy się na pomnik tego, który zawołał: Hej ramię do ramienia...“ Wezwanie nie pozostało bez skutku, — zaraz na miejscu posypały się składki.

Początek był zrobiony, ale nikt się na razie nie zajął dalszą agitacyą lub utworzeniem komitetu. Dopiero w kilka miesięcy później jenerał Włodzimierz Stanisław Wilczyński nietylko zabrał głos w sprawie pomnikowej, ale i czynnie wziął się do jej zrealizowania. Nie szło mu tylko o pomnik dla samego Mickiewicza, — chciał jednocześnie uczcić pamięć Słowackiego i Krasińskiego. Naprzód postanowił wyzyskać rozgłos imienia Libelta, podniesiony jego pobytem we Lwowie. Udał się przeto do niego z prośbą, aby zezwolił na przedruk trzech swoich rozpraw na korzyść pomnika. Libelt zgodził się — rozprawy zostały wydrukowane w 5000 egzemplarzy[1]).

Prócz tego powziął Wilczyński myśl zbierania po całym kraju nietylko składek ale i materyału na pomnik. Ówczesny prezydent Krakowa śp. Józef Dietl obiecał poprzeć osiłowania Wilczyńskiego. Szło jeszcze o uzyskanie pozwolenia ze strony władz. Na wniesione w tym celu podanie namiestnictwo odpowiedziało przychylnie, zażądało jednak przedewszystkiem przedstawienia sobie kosztorysu, oraz oznaczenia miejscowości, w której pomnik ma stanąć.

Wilczyński zgłosił się do rzeźbiarza Brodzkiego, który wykonał model pomnika, przysłał jego fotografię i kosztorys. Prócz tego sprowadził Wilczyński jakieś modele pomników z Monachium. Projekt Brodzkiego miał być wykonany w marmurze kararyjskim i kosztować 50.000 złr. Na podstawie tych przygotowań namiestnictwo udzieliło żądanego pozwolenia.

Zaczęto więc zbierać składki, tworzyć komitety, sprzedawać broszury Libelta i gromadzić materyał spiżowy. Był on na pozór zbyteczny wobec tego, że pomnik miał być wykonany z marmuru, zapewne jednak Wilczyński miał myśl zebrany spiż sprzedać, a uzyskane za niego pieniądze wcielić do funduszu pomnikowego. Wogóle zauważyć muszę, że sprawa przedstawia się dziś niejasno — znam ją tylko z opowiadań, ze wzmianek w *Gazecie Narodowej* i z artykułu p. Stanisława Bełzy [2]).

Te pierwsze na większą skalę usiłowania skończyły się na niczem, prawdopodobnie dlatego, iż nietylko uwaga samej Galicyi, ale całej Europy skierowaną została ku wielkiemu wypadkowi politycznemu, jakim był wybuch wojny francusko pruskiej. Nie czas było myśleć o pomniku, kiedyśmy wszyscy czekali chwili, w której wojska francuskie wkroczą do Berlina. Prze-

[1]) Pomnik Mickiewicza w Poznaniu, dłuta Władysława Oleszczyńskiego był już gotowy w r. 1857, — odsłonięto go dopiero 7 maja 1859.

[1]) „Rozprawy o odwadze cywilnej, miłości ojczyzny, wychowaniu ludów. Na rzecz pomnika dla Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego. Wydał za pozwoleniem autora W. Wilczyński. Kraków 1869.“

[2] *Kuryer Codzienny* 1881 Nr. 252 i 255

żyliśmy jedno złudzenie więcej, patrzyliśmy z bijącem sercem na pogrom Francyi, na powstanie germańskiego kolosu.

Składki, rzecz naturalna, zawiodły. Dochód z rozsprzedaży broszur Libelta nie pokrył nawet kosztów druku. Zebrana gotówka wystarczyła zaledwie na zapłacenie sprowadzonych modeli. Niema nawet śladu co się stało ze znaczną częścią zebranego materyału spiżowego. Jedynie śp. Fr. Bałutowski, który we Lwowie trudnił się zbieraniem składek i spiżu złożył sumę 362 złr. na ręce śp. Hankiewicza, ówczesnego dyrektora kancelaryi wszechnicy Jagiellońskiej. Czy suma ta weszła z czasem do funduszu dzisiejszego pomnika — nie jest mi wiadomo.

Sprawa pomnika ucichła, wygasło pozwolenie namiestnictwa — nikt się nie postarał o jego przedłużenie. Jedynie wśród grona krakowskiej młodzieży uniwersyteckiej myślano o podjęciu na nowo upadłej myśli, ale siły ku temu okazały się za słabe. Wiem z opowiadania, iż naradzano się nad tą sprawą pod przewodnictwem ówczesnego prezesa Czytelni akademickiej p. Hilarego Filasiewicza, znanego dziś działacza na Śląsku austryackim. Zawieszono w Czytelni akademickiej puszkę do zbierania składek pomiędzy młodzieżą, ale cóż uboga młodzież między sobą zebrać mogła? Poczciwe serca, dobre chęci, to wielki kapitał, ale tylko moralny.

Jak szły owe składki w Czytelni akademickiej najlepiej pouczy wzmianka jaką znalazłem w nrze 271 *Kraju* z dnia 25 listopada 1873. Oto jej dosłowne brzmienie: „Na pomnik Adama Mickiewicza złożyła w administracyi *Kraju* młodzież uniwersytecka krakowska za pośrednictwem Czytelni akademickiej drugą składkę w ilości 3 złr. 50 ct.“ Jeżeli druga składka tyle przyniosła, zapewne i pierwsza nie wydała lepszych rezultatów. Ten grosz wdowi cenić należy, jako piękny objaw, ale nic więcej. Miałby on znaczenie, gdyby składki płynęły ze stron różnych, — ale w około była cisza, nikt już nie myślał o pomniku.

A jednak w cztery dni później po owej drugiej składce młodzieży, sprawa pomnika zrobiła wielki krok naprzód, można powiedzieć, że została zdecydowaną.

Dzień 28 listopada 1873 r. jest bodaj czy nie najważniejszą datą w dziejach pomnika.

Młodzież akademicka tak lwowska jak i krakowska obchodziła stale od lat trzech czy czterech rocznicę śmierci Mickiewicza. W Krakowie z młodzieżą akademicką łączyła się młodzież Instytutu technicznego. We Lwowie jeżeli nie wcześniej, to przynajmniej od r. 1872 urządzano tę uroczystość publicznie — w Krakowie odbywała się ona w zamkniętych ścianach Czytelni akademickiej. Tak też miało być i w r. 1873.

Na kilka tygodni jednak przedtem na jakiemś walnem czy miesięcznem zebraniu członków Czytelni (bo dobrze sobie nie przypominam) postawił uczeń filozofii, Henryk Hugo Wróblewski, wniosek, aby pójść za przykładem młodzieży lwowskiej i uroczystość urządzić publicznie w sali hotelu saskiego. Wniosek przyjęto i polecono go przeprowadzić t. zw. komisyi „wieczorkowej“, do której wchodzili z akademików medyk Jan Gwiazdomorski i prawnik Henryk Feintuch, z techników: Arnulf Nawratil i Wł. Ekielski. Później wybrano szerszy komitet, do którego oprócz wymienionych weszli z młodzieży uniwersyteckiej: H. H. Wróblewski, Stanisław Grudziński, i Kazimierz Bartoszewicz, a z młodzieży Instytutu technicznego Maryan Gawalewicz Fr. Zygulski i Miecz. Dąbrowski[1]). Komitet wybrał swym przewodniczącym H. H. Wróblewskiego, autora dość licznych utworów poetycznych drukowanych w ówczesnych czasopismach[2]) Na posiedzeniach w mieszkaniu Wróblewskiego układaliśmy program uroczystego wieczoru. Postanowiliśmy pomiędzy młodzieżą zebrać składkę na koszta jego urządzenia. Wstęp miał być za biletami, ale bezpłatny. Cały program miała wypełnić własnemi siłami sama tylko młodzież. Jedyny wyjątek uczyniliśmy od tego, zapraszając do udziału „Muzę“, jedyne wówczas towarzystwo muzyczne w Krakowie. Był to jednak tylko pół wyjątek, do chóru bowiem „Muzy“, który miał zakończyć uroczystość odśpiewaniem „Wilji“ Żeleńskiego, należeli w połowie akademicy i technicy krakowscy. Przy układaniu programu rzucił ktoś myśl (kto, nie pamiętam), aby podczas wieczoru zbierać składkę na pomnik Mickiewicza w Krakowie. Gawalewicz pochwycił tę myśl i oświadczył, że napisze wiersz do niej zastosowany. Następnie zwrócił ktoś uwagę, że na składkę trzeba uzyskać pozwolenie dyrekcyi policyi. Wysłaliśmy więc w tym celu dwóch delegatów do ówczesnego dyrektora policyi radcy dworu Englischa. Skutek był niepomyślny — p. dyrektor oświadczył, że pozwolenia mu udzielić nie wolno. Nie zrażeni tem wysłaliśmy do niego drugą delegacyę, złożoną z tych, których uważaliśmy za najwięcej wymownych między nami. Pan Englisch przyjął nas bardzo grzecznie, ale z takim samym rezultatem. Przypomniał sobie, że było pozwolenie namiestnictwa na składki, nawet przejrzawszy akta znalazł je, ale cóż z tego kiedy pozwolenie wydane było przed trzema czy czterema laty i to tylko na rok jeden. Przy odejściu jednak zrobił nam p. Englisch maleńką

[1]) Tych dwóch ostatnich nazwisk nie wymienia autor artykułu o pierwszym wieczorku umieszczonego w r. 1883 w *Przeglądzie literackim i artystycznym* (nr 8), podaje natomiast nazwisko N. Gostkowskiego. Ja trzymam się zgodnej relacyi mieszkających dziś w Krakowie b. uczniów Instytutu technicznego.

[2]) Przypominam sobie, że z utworów Wróblewskiego cieszyły się w swoim czasie uznaniem objaśnienia poetyczne, tłomaczenie czy ilustracye (bo nie wiem jak to nazwać) do Lituanii Grottgera. Wróblewski mieszka dziś w Radomiu i wydaje *Gazetę Radomską*. On to przed paru laty poruszył sprawę obchodu setnych urodzin Mickiewicza i pierwszy podał projekt wystawienia poecie pomnika w Warszawie.

nadzieję; obiecał jeszcze rzecz rozpatrzeć i zawiadomić nas przed uroczystością.

Oczekiwaliśmy tego zawiadomienia niecierpliwie. Na dwie godziny przed rozpoczęciem wieczoru zgłosił się do mnie jeden z komisarzy policyi i oświadczył, że p. dyrektor mimo najszczerszych chęci nie może przyjąć na siebie odpowiedzialności za pozwolenie zbierania składek. Cóż było robić? Zrzedły nam miny — udaliśmy się do hotelu saskiego z tem przekonaniem, że nadzieje nasze spełzły na niczem.

Sala się zapełniała, aż się zapełniła tak, że niepodobieństwem było wcisnąć się już do niej komukolwiek. Panie, które nie znalazły miejsca, obsiadły szczelnie podium. Na galeryi panował również ścisk niesłychany. Że tak było, świadczą o tem oba miejscowe dzienniki. Parę pań wśród wieczoru zemdlało ze ścisku i gorąca. Dzierżawca hotelu chciał sprowadzać policyę, aby oczyścić choć w połowie galeryę, bał się bowiem jej zawalenia. *Czas* zanotował, że sala nie mogła pomieścić tłumu przychodzących (nr. 271 r. 1873). *Kraj* pisał nazajutrz: „Przed wyznaczoną godziną rozpoczęcia sala i galerya były już tak przepełnione, iż bardzo wiele osób z braku miejsca i z powodu wielkiego ścisku ani na salę ani na galeryę dostać się nie mogło. Publiczność w nadspodziewany i niepraktykowany sposób skorzystała z rozesłanych zaproszeń“.

W chwili, kiedy jako wyznaczony do zagajenia przemową uroczystości, przebijałem się ku estradzie przez tłum ściśniony, dano mi znać, abym się zatrzymał. Przedarł się ku mnie jeden z kolegów z zawiadomieniem, że dyrektor Englisch przybył osobiście zawiadomić, iż otrzymał telegram od namiestnictwa zezwalający na zbieranie składek. Wygrana nasza — z rozjaśnionem obliczem wygłosiłem krótkie zagajenie. Nie było w niem żadnej polityki, która tak się później rozgościła na uroczystościach mickiewiczowskich, było tylko zaznaczenie potrzeby obchodzenia uroczyście rocznicy mickiewiczowskiej, i potrzeby postawienia poecie pomnika, oraz zapewnienie, że młodzież która impuls ku temu daje, pragnie nietylko złożyć dowód uwielbienia dla wielkiego poety, ale i zaznaczyć, że pozostaje wierną ideałom wyrażonym w jego nieśmiertelnych utworach.

Po mnie wszedł na estradę Stanisław Grudziński. Zacny, szlachetny, pełen zapału, zjednywał sobie wszystkich nietylko pięknością duszy i niepospolitym talentem poetyckim, ale i pełną uroku postacią. Wysoki, delikatny, z prześlicznym, nieco chopinowskim profilem, z przepięknemi pełnemi zadumy oczami, z wysokiem czołem, z twarzą bladą i delikatną, był typem inteligentnego i pięknego młodzieńca. Prawie trudno wyobrazić sobie idealniejszą postać młodego poety lub artysty. Talent miał znaczny, rokował bardzo wiele, a jeżeli mniej pozostawił po sobie, niż się spodziewać należało, winną temu była dziennikarska praca dla kawałka chleba i choroba piersiowa, która tak wcześnie położyła koniec jego szlachetnemu życiu.

Grudziński wygłosił z zapałem odczyt p. t. „Adam Mickiewicz wobec dzisiejszego społeczeństwa“. Wydał go później osobno pod tym samym tytułem. (Kraków, drukarnia *Kraju* 1874 str. 16).

Po grzmiących oklaskach, jakimi nagrodzono młodego poetę, akademik Gwiazdomorski i technicy Ekielski i Gluziński odegrali trio Beethowena na skrzypce, fortepian i wiolonczellę. Z kolei młody prawnik Bronisław Sądecki zadeklamował „Koncert nad koncertami“. Deklamacya była wyborna, stąd niemilknące oklaski wezwały deklamatora do wygłoszenia nad program jednej z gawęd Pola. Nie spotkałem lepszego interpretatora utworów tego rodzaju, do gawęd Polowskich bowiem dostrajały się znakomicie: dźwięk głosu, ruchy, zamaszystość, a nawet typowa twarz deklamatora,-pełna szlacheckiej jowialności. Sukces był znakomity, — zapał publiczności niesłychany. Przyjęła też ona z uznaniem i marsz żałobny Chopina odegrany przez Ekielskiego i „Pieśń bez słów“ Mendelsohna wykonaną przez Gwiazdomorskiego i Ekielskiego, a wreszcie balladę Loevyego odśpiewaną dźwięcznym i silnym głosem medyka Medweya. Z kolei miał nastąpić wiersz Gawalewicza. Sam autor nie mógł go odczytać, gdyż był jednorocznym ochotnikiem, a takim nie wolno było występować publicznie. Podjąłem się więc wyręczyć Gawalewicza.

Wiersz ten był to mały, dobrze obmyślany i pełen siły poemacik. Cienie postaci mickiewiczowskich dążyły na Wawel, aby znaleść grób poety i czuwać przy nim. Nie znalazłszy tego grobu, orszak zasmucił się

I zakrył twarze pobladłe zawodem,
Bo naród mistrza, niewdzięcznym narodem.

Młody poeta wpadł następnie w ton Słowackiego i wyrzucał „matce“, że „chce za wielką uchodzić przed światem“, a powinna oblać się „szkarłatem wstydu“, bo choć wysyła w świat „ofiarnych szermierzy“, choć rodzi wieszczów co i sławę i bóle jej głoszą, to

Już nie małej w nagrodę mogiły,
Ale na pomnik niema dla nich bryły.

Utwór przyjęto gorąco. Nie było jednej dłoni, którąby się nie złożyła do oklasku. Wywoływaniom autora nie było końca, aż wreszcie ukazał się na estradzie w mundurku żołnierza austryackiego i stał się przedmiotem szczerej, niekłamanej owacyi.

Kiedy ucichły brawa, odezwałem się jeszcze raz krótko do publiczności, nawiązując słowa moje do wiersza Gawalewicza. Wstydem jest dla społeczeństwa (taką była treść przemówienia) że Mickiewicz nie ma dotychczas pomnika w Krakowie, — młodzież chce podnieść tę sprawę i dlatego po ukończeniu wieczoru będzie zbierała na ten cel składki od wychodzącej publiczności. Oświadczenie to młodzieży przyjęto z zapałem.

Podczas ostatniego numeru programu: „Wilii“ Żeleńskiego“, czterech nas stanęło z tacami w ręku przy

wyjściu ze sali. Zebraliśmy koło 200 złr. Nie brak było nawet scen rzewnych. Jakaś panienka np. zdjęła pierścionek z ręki i rzuciła go na tacę, druga położyła woreczek, w którym było kilkadziesiąt centów, — widocznie ofiarowała wszystko, co miała przy sobie. Jakaś piękność znowu odpięła różę, a towarzyszący jej młodzieniec nabył ją za 5 złr. *Kraj* pisał nazajutrz: „odświeżona przez młodzież akademicką myśl zbierania składek na pomnik Adama Mickiewicza obfite wydała plony. Zachęcona udziałem młodzieży publiczność liczne złożyła datki. W broszurze „Dziesięć lat istnienia czytelni akademickiej" wydanej w Krakowie w r. 1876 czytamy: „nadmienić należy, że w gronie młodzieży akademickiej i technicznej przy pierwszym obchodzie na cześć Mickiewicza podniesiono i to z niemałym skutkiem myśl o składkach na pomnik wieszcza" [1]).

W rok później odbył się drugi wieczorek, na który wykonał Kurzawa kolosalne popiersie Mickiewicza. Rezultat pieniężny był wprawdzie i tym razem niewielki (207 złr.) ale myśl rzucona przez młodzież przyjmowała się, znajdowała odgłos w kraju. Od czasu do czasu nadsyłano na pomnik jakąś kwotę do redakcyj dzienników, lub przeznaczano na ten cel czysty dochód z przedstawień amatorskich oraz innych zabaw. Ogół zrastał się już z tą myślą, — fundusz rósł niesłychanie powoli, ale bez przerwy.

W trzecim roku (1875) wieczorek przybrał odmienny charakter. Zaproszono do współudziału artystów teatru krakowskiego, oraz siły muzykalne naszego miasta. Nie sama więc już młodzież występowała przed publicznością. Usunięto składki dobrowolne, oznaczono natomiast ceny wejścia. Uroczystość Mickiewiczowska stała się zwykłym płatnym wieczorkiem muzycznym. Na sali coraz więcej bywało przestrono i... chłodno.

W kilka lat później (po r. 1880) wieczory mickiewiczowskie przyjęły charakter rozpraw politycznych. Każdy prawie prezes Czytelni akademickiej czuł się w obowiązku obwieścić światu, a przynajmniej krajowi, jak to on będzie świat a przynajmniej kraj zbawiał. Były to mowy czysto programowe, w których Mickiewicz stał na drugim planie. W proch rozbijano stare zasady i poglądy, ukazywano nowe drogi ludzkości. Młodzi mówcy przysięgali zwłaszcza, że pójdą między lud, aby oprzeć odrodzenie na „uobywatelonych masach". Nie chcę rozpisywać się szerzej nad owemi programami, a ich wykonaniem, nie mam bowiem zamiaru pisać satyry. Dość, że słowa pozostały słowami, miłośnicy ludu i klas roboczych, ci anarchiści, których tak bardzo obawiał się konserwatyzm krakowski, wyszedłszy z uniwersytetu oddali się najspokojniej pracy zawodowej, zapomnieli o głoszonych przez siebie programach.

Ba! nie sama młodzież politykowała na wieczorkach mickiewiczowskich. Zwykle na początku przemawiał „pan prezes" Czytelni, a na końcu jeden z młodych profesorów uniwersytetu, którzy w tych czasach z zapałem oddawali się wykładom... polityki. Kiedy pierwszy wołał: „niećcie ogień" — drugi wołał „ogień gaście". Ta publiczna polemika uczniów z profesorami wywierała efekt wysoce komiczny. Mieszały się do niej dzienniki i przez parę tygodni po każdym wieczorku mickiewiczowskim słychać było szczęk broni polemicznej w laboratoriach naszej opinii.

Wieczorki wreszcie przeżyły się, — a z chwilą kiedy fundusz na pomnik został zebrany przestały być tym corocznym budzikiem ofiarności publicznej, co stanowiło główną ich zasługę.

Jeżeli jednak wieczorki straciły swój charakter — niemniej krakowskiej młodzieży akademickiej należy wyrazić głębokie uznanie za ciągłą, nieustanną pracę nad gromadzeniem funduszów. Gdyby nie ona, gdyby nie jej wytrwała agitacya, nie doczekalibyśmy się pomnika Mickiewicza w Krakowie.

Gdzie płyną składki, tam powinien być komitet. Słuszną tę uwagę zrobiła sobie młodzież akademicka po drugim czy trzecim wieczorku. Jeszcze słuszniejszą była uwaga, że komitet musi się składać przedewszystkiem z ludzi wybitnych, dających niejako moralną gwarancyę, że sprawę będą traktowali na seryo i doprowadzą do końca. Pomimo jednak tych dwóch słuszności, piszący te słowa przekonał młodzież, że z utworzeniem komitetu należy jeszcze na razie poczekać. Kto sobie przypomni ówczesne swary polityczne, owe zabawne wielkie walki pomiędzy małymi stronnictwami, kto pamięta jak każdej najdrobniejszej sprawie nadawano charakter polityczny, jak pewne sfery niechętne były wszelkim objawom jakiejkolwiek działalności pomiędzy młodzieżą, — ten zrozumie dlaczego oponowałem przeciw udaniu się do naszych „znakomitości", pewny, że młodzież spotka się z ich strony ze stanowczą odmową. Gdybyśmy mieli choć z 10 tysięcy kapitału (tak dowodziłem) — to rzecz inna — poważna suma na poważnych ludziach zrobiłaby poważne wrażenie. Ale iść do nich z kilkuset guldenami — to znaczy narazić się na uśmiech szyderski

---

[1]) Autorem tej broszury był śp. Lesław Boroński. Tenże wydrukował koło r. 1880 krótkie dzieje zbierania składek na pomnik. Nie mam tej broszury pod ręką, ale pamiętam, że autor wbrew swym powyższym własnym słowom mylnie w niej dowodził jakoby pierwsze składki wpłynęły dopiero w r. 1875 czy 1876. Omyłka ta powstała wskutek tego, iż pieniądze zebrane w roku 1873 i 1874 znajdowały się zrazu w rękach podskarbich Czytelni akademickiej. Pierwszą składkę mianowicie przechowywał u siebie Edward Witkowski, drugą M. Rybotycki, obaj dziś doktorzy medycyny. Inne fundusze zbierane na prowincyi z przedstawień amatorskich, odczytów, spoczywały również w rękach prywatnych. Dopiero pan Bogdanik późniejszy prezes Czytelni akademickiej pościągał te wszystkie kwoty i umieścił w Kasie Oszczędności. W r. 1876 śp. Boroński pamiętał jeszcze o tem (czego dowodzi przytoczony przezemnie ustęp z broszury) — potem jakoś zapomniał.

A trzeba wiedzieć, że w sferach, do których udać się chciano, sam pomysł pomnika wywoływał niechęć wyraźnie zaznaczaną. O drugim wieczorku (1874) *Czas* nie dał w kronice sprawozdania (*Kraj* już upadł) a dopiero w parę dni później wspomniał o nim Lucjan Siemieński w tygodniowym fejletonie. Chwalił młodzież, zaznaczał „pociąg, jaki mają dla publiczności te doroczne wieczory“, ale zapytywał: czy jest rzeczą właściwą, aby młodzież rozstrzygała komu i kiedy ma być stawiany pomnik?“ „Życie, pisał dalej Siemieński — nie powinno zaczynać się od pomników!... Młodzież nie powinna porywać się „do dzieła, do którego trzeba powagi i dokonanego zawodu“ (*Czas*, 1874, nr. 275).

Słowa te wskazują wyraźnie jakie panowało usposobienie tam, gdzie młodzież zapukać chciała. Skąd młodzież ma rozstrzygać komu i kiedy stawiać pomniki? — pomników całkiem nie trzeba, nie od nich życie powinno się zaczynać! Rzecz postawiona była jasno.

Ale młodzież, jako gorąca nie zdołała długo wytrzymać i w r. 1876 (kiedy już miała nowych prowodyrów) wysłała deputacyę do trzech bardzo wybitnych osobistości z prośbą o zawiązanie komitetu pomnikowego. Nazwisk nie cytuję, dla uszanowania ciszy zmarłych i dobrego humoru żyjących. A. oświadczył grzecznie, że się do sprawy mieszać nie może, bo jest człowiekiem niepraktycznym, za wiele ma zajęć i kłopotów. B. człowiek krewkiego temperamentu — zbeształ delegatów, że go z podobnemi głupstwami nachodzą. C. wreszcie oświadczył, że nie pora teraz na pomniki i manifestacye.

Tak się skończyła wyprawa, przed którą w swoim czasie przestrzegałem. Niepowodzenie jej zaznaczyła cytowana już broszura „Dziesięć lat istnienia Czytelni akademickiej“. „Jakkolwiek (czytamy w tej broszurze) nie udało nam się uprosić mężów zaufania do utworzenia komitetu, żywimy jednak nadzieję, że w bliskiej przyszłości myśl nasza znajdzie wykonanie. Śmiało wtedy powiedzieć będziemy mogli, że pierwszy kamień pod pomnik Adamowi położyła młodzież, ta młodzież, którą tyle prześladuje zarzutów“.

Nie tworząc komitetu wzięto się natomiast do zebrania rozpierzchniętych funduszów. Nie były one wielkie, ale były. 8 października 1878 znajdowało się w kasie młodzieży akademickiej 1548 złr. Uchwalono rozesłać listy, odezwy i t. d. które nie bez skutku poruszyły prowincyę.

W rok później sprawa pomnika zrobiła olbrzymi krok naprzód. Dnie 3—6 października 1879 stanowią drugą najważniejszą datę w dziejach pomnika.

Jubileusz Kraszewskiego był niezwykłą manifestacyą. Zapał panował ogromny, — zjazd był jakiego Kraków nie pamięta. Młodzież postanowiła skorzystać z chwili i dnia 6 października urządziła bal, który przyniósł funduszowi pomnikowemu 3043 złr. Jednocześnie za zezwoleniem Kraszewskiego urządziła młodzież w Sukiennicach wystawę złożonych mu darów, z czego wpłynęło 1434 złr. Nie poprzestano i na tem: zbierano jeszcze składki po sklepach.

15 października obliczono kasę pomnika i znaleziono w niej 7752 złr. Prócz tego na ręce ś. p. Zyblikiewicza złożył p. M. Koskowski 1000 złr.[1]) inne osoby koło 2000 złr.

Z taką sumą można już było pukać o komitet. Udano się do Kraszewskiego, aby zechciał podjąć się pośrednictwa. Pośrednictwo to nie zawiodło. W końcu 1879 zawiązał się komitet, w skład którego weszli: J. I. Kraszewski jako kurator, prezydent m. Krakowa M. Zyblikiewicz, p. Maryan Sokołowski, architekt Tomasz Pryliński, prof. Władysław Łuszczkiewicz i dr. Bogdanik. Prócz nich do komitetu miał należeć każdy przewodniczący Czytelni akademickiej.

W parę miesięcy komitet zaprosił do swego grona: Józefa Majera, prezesa Akad. Umiejętności, profesorów Józefa Szujskiego, Stanisława Tarnowskiego, Józefa Łepkowskiego, hr. Karola Lanckorońskiego i p. Stanisława Koźmiana. Czasowymi członkami komitetu mieli być każdorazowi przewodniczący pojedynczych sekcyi Rady miejskiej i trzej akademicy przez młodzież wybierani. Zawiązany w tym składzie komitet uzyskał od namiestnictwa pozwolenie na zbieranie składek.

Na wiadomość o zawiązaniu komitetu ruszyła się Warszawa. Bez jej materyalnej pomocy źle byłoby z pomnikiem. Składki galicyjskie płynęły powoli, — nie były to po większej części składki dobrowolne, lecz dochody z przedstawień, odczytów, balów, koncertów, wieczorków mickiewiczowskich i t. d. Ze składkami w ścisłem tego słowa znaczeniu pospieszyła jedynie Warszawa, a jeżeli mówię Warszawa to mam na myśli zarówno Królestwo, jak Litwę, jak inne prowincye i składki ze wszystkich miejscowości państwa rosyjskiego, skąd Polacy za pośrednictwem Warszawy dorzucali swój grosz wdowi. Składki te wyniosły w przybliżeniu do 60.000 złr. Nie mając przed sobą szczegółowego spisu składek, kilka tylko cyfr przytoczę. Sama redakcya *Tygodnika ilustrowanego* między 1 listopada 1881 a 31 listopada 1882 nadesłała 7.600 złr. — wogóle z redakcyi tej wpłynęło do 15.000 rs. *Gazeta Polska* w tymże roku 1882 złożyła 2.600 rs. Deotyma miała w swoich rękach w r. 1882 przeszło 5.000 rs. a zdaje mi się, że przynajmniej jeszcze drugie tyle wpłynęło za jej pośrednictwem. Nie było wogóle jednej redakcyi warszawskiej, któraby nie nadsyłała składek u niej złożonych. Byli i tacy, co nie szukali tego pośrednictwa, a wprost do Krakowa pie-

[1]) Warto zanotować, że na krótko przed jubileuszem Kraszewskiego Armand Levy, przyjaciel Mickiewicza, podał projekt zbierania za granicą składek na pomnik. Przeciw tej „niewłaściwości korzystania w takim celu z pomocy obcych“ wystąpił w *Tygodniku ilustrowanym* p. Stanisław Bełza, zwracając się do Kraszewskiego aby „uratował nasz honor“.

niądze przysyłali. Tak np. znajdujemy w r. 1882 pozycyę 120 złr. 50 ct. od uczniów gimnazyum lubelskiego, 50 rs. od „kółka studentów“ w Warszawie, z Białej Rusi 10 rs., ze Żmudzi 5 rs., z Towarzystwa „Arconia“ 10 rs.

Płynęły fundusze i z zagranicy. Już w roku 1878 nadesłało paryskie Towarzystwo historyczne 379 złr. 66 ct. W samym roku 1882 studenci w Berlinie złożyli 60 marek, V. Hübner przewodniczący Czytelni akademickiej w Pradze 20 złr., od Polaków w Londynie wpłynęło 51 złr. 52 ct.[1])

Rzecz szła dość raźno pomimo, że komitet dla jakichś wyższych względów nie chciał wydać odezwy i pomimo, że klęska głodowa, jaka spadła na Galicyę w roku 1880 wstrzymała na razie napływ funduszów. Sama Czytelnia akademicka posiadała w r. 1881 już 25.592 złr. W listopadzie 1882 r. obliczono składki złożone tak w Czytelni jak w Komitecie na 72.569 złr. W r. 1883 Czytelnia miała już 54.239 złr., a komitet 40.000 złr. — to znaczy fundusz pomnikowy dochodził do stu tysięcy.

Uszczuplił się on już jednak nieco wskutek pierwszego konkursu.

O tym konkursie, jakoteż o następnych i o związanych z nimi projektach Matejki, osobno trzeba pomówić.

(C. d. n.) *K. Bartoszewicz.*



ODPUŚĆ NAM NASZE WINY.

Szkic przez **Abgar-Sołtana.**

Powieściopisarz Demszyński siedział w swej pracowni tak zgnębiony, jak mu się to ani razu od jego ślubu nie zdarzyło. W ręku trzymał zmięty numer jakiegoś pisma tygodniowego i sapał jak dzik postrzelony... Od chwili, gdy się ożenił, po prostu nie doznał był żadnej przykrości, małe gospodarstwo szło mu „jak z nut“, pracował łatwo i z wielką przyjemnością... Żona jego przeszła wszelkie oczekiwanie, w najśmielszych marzeniach swej bujnej młodości nie śmiał nawet przypuścić, żeby w małżeństwie można być tak szczęśliwym jak on był dotychczas.

Cóż sprowadziło teraz ten mars na czole szczęśliwego człowieka?

Napisał on był powieść, w której otwarcie i szczerze odkrył był wszelkie najgłębsze tajniki natury ludzkiej. Powieść podobała się była jego żonie, podobała się ogółowi czytelników, zyskała nawet uznanie jednego z najwytrawniejszych, najznakomitszych znawców literatury, który głośno się wyrażał, że to jedna z najlepszych powieści polskich z ostatnich lat dziesięciu. Oczekiwał recenzyj pochlebnych, któremi mógłby się przed żoną pochwalić... Tymczasem nagle, niespodziewanie spadł grom z jasnego nieba. Właśnie miał w ręku zjadliwą, niesprawiedliwą krytykę swej ostatniej powieści. Strzał padł z obozu, z którego najmniej się spodziewał zaczepki. Poznał pióro, poznawał zwroty wytwornego krytyka i powieściopisarza z pod konserwatywnej chorągwi. Czynił on mu zarzuty straszne, a tak bolesne i dotkliwe, że Demszyński wił się po prostu z bolu. Krytyk z pod jego własnej chorągwi nie samą powieść krytykował, przeciwnie nawet oddawał pochwały jego talentowi, ale pisał, że jest to utwór szalenie niemoralny, gorszący, szkaradny. Przytem w krytyce tej były zjadliwe szpilki skierowane do osobistych, czysto prywatnych stosunków Demszyńskiego, do jego życia domowego, do jego stosunku społecznego... Nawet przed laty zmarłym przodkom Demszyńskiego złośliwy krytyk nie dał pokoju.

Dawno wrodzona gwałtowność budzić się zaczęła w zrównoważonej dziś duszy powieściopisarza. Gwałtowność dziedziczna, nad wykorzenieniem której tak długo i tak gorliwie pracował. Twarz stawała się coraz bledsza, a żyły na skroniach występowały jak postronki. Przez zaciśnięte usta wydobywały się niezrozumiałe przekleństwa.

Nagle opanował gniew i znowu zaczął rozmyślać. Nie mógł po prostu dojść przyczyny, tej nagłej, a tak brutalnej i niesprawiedliwej napaści. Całe życie był wiernym i oddanym synem Kościoła; nie miał na swem literackiem sumieniu ani cienia grzechu w tym kierunku. Gorszycielem nie był nigdy. Przeciwnie spotykały go już niejednokrotnie zarzuty, ze strony wolnomyślnych, że jest za nadto katolicki, zanadto zachowawczy.

Zerwał się nagle, zmięty numer pisma rzucił na ziemię i chodząc pospiesznymi krokami po pokoju szeptał sam do siebie:

— Żeby mnie to spotkało ze strony *Kuryera*, a to zrozumiałbym i nawet bym się nie dziwił... Ale oni, oni?... Zacisnął jeszcze silniej usta; twarz mu się łamała jak w bólu największym. Przypominał sobie, że nie raz w życiu odrzucał najponętniejsze propozycye, byle nie stawać w dwuznacznem świetle, byle nikt nie mógł przez chwilę nawet przypuścić, że łączy się z ludźmi niechętnymi kościołowi i religii.

Na to wspomnienie aż zgrzytnął zębami i zawołał głośno:

— Jacyż oni...: do własnych żołnierzy strzelają.

Nagle uspokoił się na pozór, usiadł i zaczął znowu rozmyślać i kombinować; pragnął koniecznie domyśleć się przyczyny, która skłoniła krytyka do tak zjadliwego wystąpienia. Przypominał sobie, że nigdy temu człowiekowi nic złego nie zrobił, że miał doń

[1]) W ostatnich kilkunastu wierszach przytaczam cyfry tylko z r. 1882, bo w roku tym wydała krak. Czytelnia akademicka drukowane sprawozdanie ze składek podpisane przez pp. Jana Pawlikowskiego i Kazimierza Ożoga. Podobne pozycye istniały naturalnie w każdym roku składkowym.

nawet najzupełniejszą sympatyę... Czuł wreszcie instynktem, że krytyka ta nie była sprawiedliwa, że nie napisano ją rzeczywiście w celu ustrzeżenia młodzieży przed zepsuciem, że z piekielną zgrabnością powyciągano ustępy z powieści takie, które w rzeczy samej czytelnikowi nie znającemu powieści, mogło o niej dać jak najgorsze wyobrażenie.

Zapytywał więc Demszyński sam siebie — po co on to zrobił? i długo na to pytanie nie mógły znaleść odpowiedzi...

Nagle zerwał się znowu i zawołał:

— Zazdrość... zawiść literacka! I uderzył się w czoło mówiąc sam do siebie:

— Jaki ja głupi, nie mogłem się tego odrazu domyśleć.

Po tych słowach twarz jego przybrała wprost straszny, niemiły wyraz, osiadła na niej złość swemi zielonemi barwami i tworzyła ciemne brzydkie cienie. Chodził, prawie biegał bez przestanku po pokoju, szepcząc:

— Ależ dam ja mu teraz... Zobaczy, co to znaczy deptać Demszyńskiemu po nagniotkach... Suchej nitki nie zostawię na nim. Zobaczy on, że i Demszyński potrafi krytykę napisać... Wyciągnę mu tego żyda, którego wymalował jako dobroczyńcę szlachty. Zobaczymy... zobaczymy, kto będzie górą.

Zbliżył się nagle do stolika zasypanego wprost różnorodnymi świstkami papieru, listami, wycinkami z gazet i sapiąc usiadł zabierając się do pisania... Papier pokrywał się drobnemi, równemi wierszami, ze zdumiewającą szybkością, a z ust autora dobywały się bezprzestanne przygłuszone groźby:

— Zobaczymy! zobaczymy! Przekona się, że Demszyński potrafi mu odpisać.

Nagle z cicha otworzyły się drzwi od dalszych pokoi i w nich ukazała się wyniosła, gibka postać pięknej, młodej kobiety. Uśmiechając się figlarnie szła bez szelestu ku Demszyńskiemu, tak cicho, jakby umyślnie chciała zrobić mu niespodziankę swem ukazaniem się. Gdy doszła już aż do stolika Demszyński, podniósł na nią zdziwiony i rozgniewany wzrok, rzucił na nią spojrzenie takie, które wprost przestraszyło młodą kobietę. Popatrzyła nań ze zdziwieniem, obawą i głosem drżącym, bezdźwięcznym zapytała:

— Co się mężykowi stało?

— Nic!... zdarzyła mi się przykrość... Proszę cię nie przeszkadzaj mi, mam ważne zajęcie.

Głos jego był suchy, twardy i mimo przymusu który sobie zadawał — prawie szorstki.

Żona popatrzyła nań żałosnem zdziwieniem i dziwną obawą; dotychczas nigdy w ten sposób do niej nie przemawiał. Uczuła, że coś ważnego zajść musiało i przez wrodzoną kobiecą delikatność zrozumiała, iż musi użyć troskliwej i delikatnej ręki kochającej kobiety, ażeby opatrzyć ranę zadaną jej mężowi, przez nieznaną nienawistną jakąś dłoń. Zbliżyła się więc do męża i zmuszając się do zupełnego spokoju, a nawet wesołego tonu, choć duszą jej szarpał straszny niepokój, położyła swą drobną dłoń na rozpalonem, gorącem czole, mówiąc:

— Czego się mężyk tak wzruszył. Niech się mężyk przyzna... Stało się jakieś nieszczęście.

On milczał zawzięcie, a nawet starał się usunąć głowę z pod jej dłoni.

Kobieta jednak nie dawała za wygraną. W dźwięk swego głosu starała się wlać całą słodycz, którą Bóg nasycił jej piękną duszę i mówiła dalej.

— Mężyku, dlaczego mężyk coś kryje przed swoją żonką... Powiedz mi! Jeżeliś poniósł jakie straty materyalne, ja to zniosę... będę cię jeszcze więcej kochać. Odprawimy naszą kosztowną służbę, sprzedamy konie, będziemy się oszczędzać, to się da naprawić.

On milczał ciągle, ona zaś mówiła dalej:

— Jeżeli to nie pomoże, to sprzedamy wszystko, zapłacimy co się komu należy... Ja oddam wszystko, byle mężyk się nie smucił... Mężyk znajdzie zajęcie w jakiejś redakcyi. Będę sama obiad gotować.

Słuchając tych słów Demszyński miękł jak wosk w cieple, łzy zabłysły w jego jasnych błękitnych oczach i zawołał nagle:

— Dziecko, nie martw się! Dotychczas nie ponieśliśmy żadnych strat materyalnych, przeciwnie nasze interesa idą całkiem dobrze...

— A czegoż się mężyk smuci?

— Doznałem wielkiej przykrości — odpowiedział niechętnie — ale to taka rzecz, że żonkę mało obchodzi, to sprawa literacka.

Na to ona wzięła go za rękę, a drugą pogroziła mu palcem przed oczyma.

— To już tak — rzekła smutnym głosem — już tak się mówi... to „żonuś“ już taki głuptasek, że go mają obchodzić tylko kury, kaczki i gęsi a p. Demszyńskiej nic do tego co pisze p. Demszyński... Oh! panie Demszyński, proszę mi zaraz powiedzieć, co pan masz za zmartwienie, bo pani Demszyńska zacznie zaraz płakać.

I w rzeczy samej piękne czarne oczy ślicznej kobieciny pokryły się nagle wilgotną mgłą, nawet dźwięk jej głosu przy ostatnich słowach był zwilgotniał zupełnie.

Demszyński uczuł, że nie będzie w stanie nic ukryć przed ukochaną kobietą, z zupełną więc rezygnacyą, podał jej zmięty numer zachowawczego organu, mówiąc sucho:

— Czytaj!

Czytała pospiesznie, z gorączkowem zajęciem, oblicze jej mieniło się pod wpływem przykrych wrażeń. Wreszcie skończyła i kładąc numer na stole rzekła, zmuszając się do spokojności:

— Mężyku, to zły człowiek napisał, niesprawiedliwy człowiek... Niech mężyka to nic nie dotyka... Niech mężyk się uspokoi.

— Jak się mam uspokoić w obec takiej złośliwej przewrotności — zawołał, wybuchając gwałtownie.

— Cóż mężyk zrobi? zapytała cicho, potulnie, obejmując swą cienką ręką jego szyję i garnąc się doń, tak jak pieszczone dziecko do matki.

On przytulił ją serdecznie do piersi, ale nie patrzył jej w oczy, nawet z umysłem zwrok swój odwracał w przeciwną stronę. Żona tuląc się coraz serdeczniej pytała uparcie:

— Cóż myślisz z tem zrobić?

— A cóż mam zrobić — zawołał. Jaką kto bronią wojuje, od takiej ginie... Odpiszę mu tak, że mu w piętach postygnie. Na ciętą polemikę twój mąż zdobyć się potrafi. ...Już zacząłem pisać. Zobaczysz jak ja go urządzę... Wiesz kto to pisał? To twój ukochany elegancki pisarz, wiesz — ten krytyk sztuki i literatury, a w jednej osobie równocześnie powieściopisarz, nowelista... No daj mi już spokój z tymi autorami do wszystkiego. Niech on mi da pokój... bo...

— Mężulku na miłość boską uspokój się. Uspokój się kochaniutki — błagała kobieta przestraszona gwałtownością słów męża. Perswazye jednak nie skutkowały, Demszyński zapalał się coraz gwałtowniej swemi własnemi słowami i mówił coraz groźniej:

— Co się mam uspakajać. Co za sprawiedliwość, co za odwaga z za płotu strzelać. Żeby on nie był starcem, to wiem, co bym zrobił... wyszukał bym mu kulą, gdzie leży jego piąte żebro... a tak, to wiek go kryje lepiej niż płot. No, no, ale tego mu nie daruję. Popamięta on.

Pani Demszyńska nagle płakać zaczęła, łzy ciekły obficie po jej pięknej zarumienionej twarzyczce, a z piersi wydobywało się łkanie tak smutne i żałosne, że wprost trudno opisać.

Powieściopisarz z największem przerażeniem spojrzał na żonę i z dziwną, niespodziewaną u niego czułością zapytał chwytając ją za obie ręce:

— Co dzieciątku się stało? Czego żonusek płacze?

Ona łkała dalej, a gdy ją chciał pocałować, to starała się usunąć.

Niepokój wzrastał w duszy męża i z rosnącą troskliwością zadawał jej pytania:

— Robaczku kochaniutki, czego płaczesz? Uspokój się. Co ci się stało?

Zmuszał się wreszcie do udawania dobrego humoru, nazywał ją zdrobniałemi imionami: ptaszkiem, wiercipiętkiem, chrząszczykiem, nic nie pomagało, płakała ciągle. Wreszcie uniósł się i zawołał:

— Dobrze! kiedy tak to idę sobie, niech żonuś płacze.

To poskutkowało, podniosła oczy z przestrachem, spojrzała na męża załzawionemi oczami i przez łzy zawołała:

— Jak nie mam płakać, kiedy mężyk mnie nie kocha... Niedźwiedzik obiecał, że się nigdy z nikim nie będzie pojedynkował, a teraz chce się strzelać z tym nieznośnym, jeszcze on zabije mego mężyka.

Pomimo, że Demszyński był smutny, zły i zdenerwowany, na taki horoskop roześmiał się tak serdecznie jak rozfiglowany kilkunastoletni łobuz. Usiadł śmiejąc się i przygarnąwszy żonę do siebie zaczął ją całować i pieścić, mówiąc:

— Nie bój się, nikt ci twego niedźwiedzika nie zabije, będzie ci dokuczał długo swemi nieznośnymi literackimi humorami.

— Eh! humory mnie nie dokuczają — szepnęła kobiecina figlarnie błyskając czarnem oczkiem — tylko to mnie smuci, że mężyk znowu robi się bezbożnik.

— Ja bezbożnik!... Chyba trzymasz z tym oryginalnym recenzentem.

Nieodpowiedziała i znowu przygarnęła się bliżej do męża. — Nie, ja z nim nie trzymam, nawet się gniewam na niego, bo mężykowi dokucza, tylko smucę się, że mężyk bezbożnik.

— Dlaczego ja bezbożnik? — nastawał powieściopisarz.

— A mężyk zapomniał, że co dnia mówiąc pacierz, powtarzamy: „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom". A mężyk nie chce temu winy odpuścić, tylko jak poganin chce się na nim mścić i wypisywać na niego takie głupstwa jak on na mężyka powypisywał. To źle, to nie po chrześciańsku, to poganie tak robią.

Demszyński słuchał tych słów z natężoną uwagą, na jego obliczu dotychczas bladem ukazał się lekki rumieniec zawstydzenia. Swym logicznym umysłem odczuł, że żona miała słuszność.

Pani Demszyńska tymczasem nie traciła korzystnej chwili, kuła żelazo, póki było gorące, szczebiocąc bezprzestannie:

— To mężyk chce ludzi, chce swych czytelników prowadzić do dobra i piękna, a sam postępuje jak Turek, jak poganin... Oko za oko, ząb za ząb... Dopiero by ten jegomość mógł coś brzydkiego na mężyka napisać. A teraz co, napadł mężyka, a mężyk przeszedł obok i nawet się na niego nie popatrzył. Tak! tak! Mężyk dobry, mężyk szlachetny, mężyk nie będzie nic jemu odpisywał. To tak nieładnie, tak pospolicie po gazetach się szkalować.

Tu nagle zaczęła swą twarzyczkę ocierać o twarz męża i tak mu serdecznie w oczy zaglądać, że ten roztajał już zupełnie i zawołał wesoło:

— Niechże się stanie wola pani Demszyńskiej. Ale ten jegomość pomyśli, żem stchórzył.

— Nie, nie pomyśli. A wie mężyk, że za to Pan Bóg mężyka już nagrodził.

— W jaki sposób?

— Właśnie chciałam mężykowi powiedzieć... Bazyl przyszedł dać znać, że się urodziło źrebiątko... Jest złotogniada klaczka od Mirabelli.

Demszyński zerwał się, jakby go kto z procy wysadził; szukając pospiesznie czapki wołał bezładnie:

— I ty kobieto, dopiero teraz mi to mówisz... Co mnie obchodzą wszyscy krytycy, co mnie obchodzi ich puste pisanie. A nie mówił Bazyl jakie? Czy ma białe nóżki? Czy ma gwiazdkę, czy łysinkę? Boże, ona mi tu godzinę gada o etyce literackiej, a tam jest klaczka od Mirabelli.

Pani Demszyńska uradowana skutkiem, jaki wiadomość przez nią udzielona wywarła na męża, zaczęła szczebiotać pospiesznie:

— Bazyl powiada, że śliczna, że ma uszka długie i ruchome jak u sarenki, że sama krótka, ale ma silne wysokie nogi, że będzie ładniejsza od matki.

Wśród takiej rozmowy Demszyński znalazł nareszcie czapkę i oboje wyszli do stajni, gdzie stały klacze stadne. Demszyński był tak uradowany tą świeżo urodzoną klaczką od Mirabelli, że nawet napisanie najcudowniejszej powieści nie byłoby mu zrobiło takiej przyjemności. Mirabella była jedyną klaczą, która pochodziła w prostej linii od tej sławnej Mirabelli, która jego dziada nosiła w bitwach pod Stoczkiem i Boremlem i służyła mu w kilkudziesięciu innych potyczkach. Klacz ta dotychczas rodziła same koniki, ta mała córeczka dawała mu nadzieję, że ród ten sławny nie wygaśnie po kądzieli.

Oboje weszli do klatki gdzie stała klacz. Pani Demszyńska z pewną zazdrością spostrzegła, że jej mąż, objął klacz i źrebię tak czułem i rozmiłowanem spojrzeniem, jakie według niej tylko żonie się należało. Spochmurniała więc trochę i w koło jej ślicznych ust zarysował się nieznaczny dąsik. Mąż jednak w tej chwili nie zwracał na to najmniejszej uwagi, głaskał i pieścił naprzemiany to klacz to źrebię.

Nagle pani Demszyńska z cicha płakać zaczęła. Spojrzał na nią ze zdziwieniem i przestrachem.

— Czegóż znowu robaczek płacze? — zapytał.

Kobiecina jeszcze głośniej kwilić zaczęła i przez łzy mówiła:

— Mężyk mnie już nic a nic nie kocha! Mężyk swoją literaturę i Mirabellę kocha więcej niż żonę. Mężyk na mnie nigdy tak czule nie patrzy, jak na tę nieznośną Mirabellę.

Mąż rozśmiał się wesoło i swobodnie odpowiedział:

— Nie wydziwiaj mój robaczku. I Mirabella i cała moja literatura są dla ciebie, są na twoje usługi, jesteś królową całego tego państwa, a jesteś dobrą i łaskawą królową.

Zamyślił się na chwilę, lecz wnet potem dodał:

— Na pamiątkę, że dziś powstrzymałaś mnie od wdania się w niepotrzebną kłótnię literacką, mała ta klaczka będzie się nazywać „Recenzya".

— Niech żyje „Recenzya"! — wykrzyknęła — chciałabym, żeby wszystkie recenzye o powieściach mężyka były takie ładne jak ta mała.

Na tem skończyła się sprawa tej napaści literackiej, a Demszyński dziękował Bogu, że mu dał taką mądrą i dobrą żonę.

W Dubienku 18 kwietnia 1898.



Fr. Rawita-Gawroński.

Nieco o rodzinie i miejscu rodzinnem Tarasa Szewczenki.

(Dokończenie.)

Zacznijmy od inwentarza z r. 1780. Między rokiem urodzenia Szewczenki, poety, a sporządzeniem tego inwentarza upłynęło zaledwie 34 lata. W ciągu tego okresu zaszły dusze zmiany; Rzpla istnieć przestała, a dziejowy dorobek jej dostał się Rosyi. Stosunki pańszczyźniane zmieniły się na gorsze, gdyż prawnie wprowadzone zostało i obostrzone przywiązanie do ziemi (zakrieposzczenije), ale czyż te stosunki mogły tak ostro się zmienić, ażeby sprowadzić „okres najcięższy dla poddaństwa? Stan ekonomiczny włościan z czasów młodości ojca Szewczenki był taki, że dziś wydaćby się mógł jakiemś złotem marzeniem dla przeważnej większości włościan rusińskich. W utyskiwaniach biografów, a nawet samego poety, zachodzi nieporozumienie między prostotą, niewymagalnością życia i obyczajów owoczesnych, a nawyknieniami i wymaganiami pseudo-cywilizacyjnemi. Zdaje się nieraz i niejednemu, że siermięga włościańska, „poczerniała" strzecha, niewybredna strawa są nędzą wobec fraków i ciasteczek.

„Nędza" i „ubóstwo" dziada Szewczenki wyglądało bardzo ponętnie. Już sam poeta dał nam o tem pojęcie. Oddzieliwszy uczucie od rzeczywistości, opisał zagrodę ojcowską, zapewne i dziadowską, jako osadę zamożnego rolnika. Tam na seryo o „nędzy" mowy być nie mogło, gdzie się pielęgnują ogrody kwiatowe, gdzie są dobre zabudowania gospodarskie (kłunia), gdzie jest sad przy chacie, za sadem pastwisko duże (lewada). Dla iluzto cywilizowanych szczęśliwców taka zagroda staje się niezniszczonem marzeniem całego życia! A przecież tego nie dość. Rodzina posiadała jeszcze pola, łąki, pastwisko, nie płaciła żadnych podatków w gotowiźnie od ziemi, tylko odrabiała go w formie robocizny. „Stara, z poczerniałym słomianym dachem chata" jeszcze nie jest w ogóle obrazem nędzy, a tembardziej u włościan.

Powiedziałem już, że w Kiryłówce było dwóch Szewców i jeden Szewczenko, oprócz tego we wsi miała jeszcze siedzibę wdowa Iwania Szewcyczucha.

Najuboższym z nich był Wasyl Szwiec, gdyż własnego inwentarza nie posiadał, zaliczał się do kategoryi „pieszych" i opłacał czynsz zł. pol. 7; Iwania Szewcyczuchowa płaciła czynszu 16 złp., Onystrat Szew-

czenko, „poczwórny“ — 32 złp., a Andrej Szwiec — 21 złp. Od pary wołów płacono zatem czynszu 7—8 złp. Oprócz tego istniał rodzaj podatku dochodowego — dla tych, którzy oprócz uprawy ziemi, bawili się rzemiosłem lub innem zatrudnieniem — pod formą pokoleszczyzny, stawowego, lasowego, warstatowego i dziesięciny pszczelnej. Osepy były następujące: pieszy dawał „pół ośmuchy“ żyta (około 4 garnce), tyleż owsa i garniec „pszona“ (jagieł). Ciągły, który jednym wołem orał, dawał tyleż co i pieszy; „parowy“ — jedną ośmuchę żyta, tyleż owsa, dwa garnce „pszona“; „potrójny“ w tym samym stosunku tych samych produktów. Pasiekę prawie każdy włościanin posiadał. Jeżeli mniej niż dziesięć pni — płacił po 10 groszy od pnia, jeżeli 10 — dziesiąty pień, lub 3 złp. 10 gr. Onystrat Szewczenko miał 37 pni; inni mniej niż dziesięć. Ilość używanej ziemi była w stosunku do posiadanego inwentarza 12—15 dziesięcin na parę wołów. Mniej — rzadko zdarzać się mogło, gdyż tyle można z łatwością parą wołów obronić; więcej bywało prawie zawsze. Pańszczyzny w robociźnie nie było żadnej, tylko każdy odrabiał 12 dni szarwarków rocznie *pro commodo fundi*. Był to obowiązek połączony z własnym interesem włościan (reparacya dróg, stawu, młyna i in.). „Jeżeliby posessor chciał sobie utrzymywać zasiewy — czytam dalej w inwentarzu — na polach przez urząd eksekutoryalny sobie w possesyę oddanych, zdawna do folwarku Kiryłowickiego i Pedynowskiego należących, przeto ma woły własne trzymać i niemi może grunta na zboże uprawiać“. Posessor miał prawo tylko do t. zw. „tłoki mokrej“ — ale już sama nazwa, jak i tradycya do dziś przechowana, wskazuje, że nie była ona obowiązkiem, jeno grzecznością; opłacano też ją nie pieniędzmi, lecz jadłem i napojem.

Te bardzo nieuciążliwe obowiązki i warunki ekonomicznego położenia włościan, natrafiały jednak na samowolę, przeciwko której nie było narazie ratunku. Oto sam dziedzic wsi Kiryłówki, Ksawery książę Lubomirski, jako pułkownik rossyjski konsystował we własnym majątku. Pociągało to wymaganie podwód i zapewne inne, nieodłączne od konsystencyi wojsk, uciążliwości. Oświadczali na to włościanie, „że dłużej bez żadnej płacy wystarczać nie będą zdolni,“ ale była to przyczyna bynajmniej nie ekonomiczna, lecz po prostu nadużycie.

Urząd egzekutoryalny zjazdowy, „nie mając prawa ruszenia wojska z miejsca,“ zalecił jednakże Lubomirskiemu obronę poddanych. W ogóle troska o ekonomiczną ochronę włościan widnieje z każdego punktu.

Z tego krótkiego przeglądu obowiązków widzimy, że w owym czasie pańszczyzna, w znaczeniu robocizny rolnej, w Kiryłówce nie istniała wcale; że daniny były bardzo małe; że nie było ani jednej chaty, któraby nie posiadała pasieki, a rodziny Szewców i Szewczenków, jakoteż Iwani Szewcyczuchowej należały do najbogatszych.

Jakie były dalsze losy ekonomiczne tej wsi, nie wiem. Odpowiedź znalazłaby się zapewne w archiwum kiryłowieckim. Z przejściem tej części Ukrainy do Rosyi, pogorszyły się stosunki znacznie, jednakże pogarszanie się to nie odbywało się tak pospiesznie, ażeby w ciągu 34 lat sprowadzić nędzę, ruinę i saturnalie pańszczy-

	Pańszczyzna: Ciągła	Pańszczyzna: Piesza	Powalne	Tłoka: Mokra	Tłoka: Sucha	Pomoc na tłokę: Mokra	Pomoc na tłokę: Sucha	Przędzenie motków	Robienie prosa (garnce)	Szarwark	Czynsz (zł. p.)	Daniny w złot. pol.: Warsztatowe	Daniny w złot. pol.: Stawowe	Ułanszczyzna	Kury	Jaja	Osep: Żyto (korce)	Osep: Owies (garnce)
Rok 1798. Szymon Płachetny „parowy“. Wołów 2, koni 2. W domu: mężczyzn 3, kobiet 3.	156	1	12	3	3	4	2	—	—	12	8	3	2	3	2	12	1	16
Tenże w r. 1805	104	—	12	1	1	—	—	3	2	12	8	3	2	3	2	20	1	16
Tenże w r. 1808	104	—	12	1	1	—	—	2	2	12	8	3	2	3	2	20	1	16
Rok 1798. Bewzycha wdowa z synami. Wołów 6, młodych 4. Mężczyzn 7, kobiet 5.	156	—	12	3	3	4	2	—	—	12	24	—	2	3	2	20	3	1·16
Taż w r. 1805	104	—	12	1	1	—	—	4	6	12	24	—	2	3	2	20	3	1·16
Taż w r. 1808	104	—	12	1	1	—	—	4	6	—	24	—	2	3	2	20	3	1·16

źniane. Poprobuję jednak zdać sobie sprawę z postępu zmian na podstawie poźniejszych dokumentów. Nie odnoszą się one wprawdzie do Kiryłówki, lecz do miejscowości zbliżonych, ale też trzeba pamiętać i o tem, że zmiany ku gorszemu nie dotykają zwykle jednej wsi, lecz obejmują w jednakim prawie stosunku cały kraj, a najbardziej wsie, zbliżone położeniem ogólnem.

Posiadam inwentarze pańszczyźniane z trzech lat r. 1798, 1805 i 1808 wsi Sorokotiahy [1]). Nie są one w żadnym związku z inwentarzem wsi Kiryłówki, ale dają miarę i pojęcie o tem, że wzmaganie się pańszczyzny nie odbywało się tak rychło, ażeby w ciągu dziesięciolecia mogło sprowadzić „nędzę“ i „ubóstwo“ i że przeciwnie, widać pewną stałość obowiązków. Przyjrzyjmy się datom. Wziąłem na chybił-trafił dwa nazwiska: Szymona Płachetnego i wdowy Bewzychy. — Patrz tabelkę w tekście umieszczoną.

Pozwala ona zrobić wnioski wprost odwrotne, niż te, do jakich tendencyjnie dochodzą niektórzy politycy, uprawiający historyę Rusi. Rzucają one poniekąd światło na położenie ekonomiczne rodziny pańszczyźnianej. Wogole pańszczyzna w wielu dobrach nietylko niezwiększała się w pierwszej dobie panowanie Rosyi, ale niekiedy zmniejszała się pod wpływem rozmaitych przyczyn. W czasie blizkim urodzenia Szewczenki na 365 dni pozostawiała ona 197 dni (w najgorszym razie) na korzyść włościanina. Prawidła inwentarzowe z r. 1848 — wprawdzie sformułowane w okresie późniejszym, niż nas interesujący, ale przestrzegane i pierwej — oprócz niedziel, pozostawiały 19 dni świątecznych i wszystkie t. zw. „tabelne,“ czyli uroczystości dworskie, w które włościanie wolni byli od robót [2]).

Z tego widać, że włościanie na Ukrainie, a tembardziej w Kiryłówce, w okresie zbliżonym do wieku dzieciństwa T. Szewczenki:

1) wcale nie żyli „ubogo“ i „nędznie;“
2) nie „pracowali od rana do wieczora na panów swoich;“
3) pojęcie „niewoli“ da się odnieść tylko do zależności ekonomicznej od właściciela ziemi, które, upokarzające pod względem etycznym, uwalniało ludność wiejską od wszelkich ciężarów publicznych;
4) wreszcie — „niewola“ owa wyrażając się w stosunku zależności, świątyni, przeznaczonej do modlitwy, niezamykała przed nikim.

Warto byłoby raz na zawsze z życia rusińskiego poety wyrzucić bądź nieprawdziwe, zabarwione polityczną tendencyą, bądź przez pryzmat cywilizowanego sentymentalizmu sformułowane sądy. Przesada jest bardzo blizką prawdy, ale prawdą nie jest.



[1]) Bibl. własna Rps. Nr. 20, 21 i 22.
[2]) Wysoczajsze utwierżd. inwent. prawiła 29 grudnia 1848.

Korespondencya J. I. Kraszewskiego,

przez K. Bartoszewicza.

(C. d.)

65. Bohowicz.

Doktor Aleksander Stankiewicz, mieszkający w Litynie, gdzie mógł źle się o Kraszewskim wyrażał: pomagała mu w tem pani Iwanowska, siostra Bohdana Zaleskiego. Bohowicz (kto to był, dojść trudno) napisał w sierpniu 1860 r. list do *Kuryera wileńskiego*, w którym ostro występował przeciw tej parze nieprzyjaznej Kraszewskiemu. Redakcya listu nie umieściła, ale w odpowiedziach od redakcyi dała małą admonicyę „pobożnej pani I. co pod osłoną westchnień, z oczyma zwróconemi ku niebu roznosi potwarze na zasłużonego pisarza i obywatela“ i doktorowi S. „służącemu za węgrzyna roznoszącego zatrute oszczerstwem olejki i proszki“ [1]). Bohowicz donosił Kraszewskiemu o „skutkach“ tej odpowiedzi. (Dr. S. „dostaje strasznych paroksyzmów“) i odmalowywał Stankiewicza w bardzo czarnych kolorach. Nie wszystkie „oszczerstwa“ jego podał do wiadomości *Kuryera*. Opowiadał on jeszcze, że „JWPan Dobr. jako byś za to się rozgniewał na papieża, że ten gdyś był u niego, dawszy panu posłuchanie, przyjął najgorzej i mówić nie chciał. Na to mu tu odpowiadają, że Panna Regina Korzeniowska narobiła plotkę będąc u papieża, nagadała jakobyś JWPan Dobr. pisał coś przeciwko Religii R. K. Doktor S. taki wyraźny żart chwyta za prawdę i puszcza dalej. Ciasna to głowa lecz i złośliwa. Monstrancya, którąś JWPan Dobr. zrobił i przysłał do Lityńskiego kościoła wszystkim się podobała, wszyscy są zdumieni, jeden tylko doktor S. widzi ją źle zrobioną i wszystko w niej gani“. Jak widzimy Bohowicz był może dobrym człowiekiem, ale jeszcze lepszym plotkarzem. Należał do tego typu ludzi, którym się zdaje, że robią komuś usługę jeżeli mu donoszą, co kto o nim złego powiedział. A tak był zacięty, że nawet napisał do *Kmiotka*, pisma ludowego wychodzącego w Warszawie, wierszyk p. t. „Janek i znachor“ w którym ulał sporo żółci na „swej wioski znachora Aleksandra doktora“.

66. Boratyński.

W wielkiej Encyklopedyi ilustrowanej znajduje się o nim następująca krótka wzmianka: „Boratyński, malarz polski, pomiędzy latami 1850 a 1856 bywał w Warszawie, głównie zaś za granicą, we Włoszech pracował, robił portrety, krajobrazy, był bardzo wielostronny; manierę miał szeroką, śmiałą“.

Boratyński w r. 1858 mieszkał we Florencyi, a właściwie miał tylko w niej pracownię na Antica Casa Corsini — Borgo Sta Croce, urządził sobie bowiem mieszkanie

[1]) *Kuryer wileński* 1860 nr. 69.

„w domku wiejskim za Fiolą w starej zrujnowanej ubogiej baszcie zwanej Castel di Poggio“. 20 czerwca 1858 otrzymał list „od pana Pola z Medyolanu“ donoszący, że Kraszewski 16 t. m. wyjechał do Rzymu na Florencyę. B. spodziewał się, że go Kraszewski odwiedzi, ale gdy to nie nastąpiło, kazał go szukać po „lokandach“ i w końcu dowiedział się, że Kraszewski stoi w hotelu Yorku. Przykro mu było, że K. „nie miał chęci pokwapić się do rodaka tułacza pustelnika na obcej ziemi i pocieszyć tego oko widokiem i poznaniem tak zaszczytnego męża dla narodu“. Byłby sam pospieszył, ale spotkał go wypadek: koń uniósł bryczkę przy zjeżdżaniu z góry spadzistej, Boratyński wyleciał z bryczki i ciężko się potłukł. Prosił więc listownie Kraszewskiego (28 czerwca), aby go odwiedził w pracowni lub w Castel di Poggio „gdzie znajdzie staropolskie przyjęcie, a biedocie tułacza i biednego artysty przebaczyć raczysz, lecz za to wynagrodzony zostaniesz najpiękniejszymi widokami“. Kraszewski przyjął tę drugą propozycyę, nazajutrz zatem o godzinie siódmej z rana pisał Boratyński „z łóżka“ drugi list do niego przez woźnicę, który miał oczekiwać z powozem na Kraszewskiego. Do listu dołączył charakterystyczny przypisek: „Ja nie jestem wielomowny, lecz lubię słuchać, zwłaszcza człowieka któren tyle skarbów posiada umysłu i serca! jestem roztargniony często i bez pamięci, zamyślony, gdy właśnie nie powinienem! — ale dużo smutku i zmartwień mam — a zatem ostrzegając o mych mimowolnych dziwactwach, proszę o względność i przebaczenie“.

Trzeci list (z 6 lipca) pisał Boratyński do Kraszewskiego przebywającego już w Rzymie, „w stolicy odwiecznej historyi narodów i kościoła chrześcijańskiego, w pośrodku mówiących pamiątek, wielkich i uderzających myśli, czynów nadzwyczajnych, okrucieństw i cnót wielkich“. Spodziewał się, że gruzy rzymskie dostarczą Kraszewskiemu natchnienia do utworu, „który jemu i Rzymowi przyda nieśmiertelności“. Narzekał, że coraz więcej cierpi na stłuczoną nogę i od czterech dni już wstać nie może. Ponieważ upały florenckie dokuczały Kraszewskiemu — cóż dopiero będzie w Rzymie? — „a więc do ochłodzenia się posyłam ci chatę śniegiem pokrytą, abyś tam odpoczął po dziennych skwarach“. Dołączał wreszcie Boratyński list „al Signor Xaverio Carnevali“, który był malarzem i jednocześnie fotografem rzymskim. W liście tym, pisanym po włosku, prosił Carnevalego, aby zrobił dla niego dużą fotografię Kraszewskiego.

Z entuzyastycznych listów Boratyńskiego dowiadujemy się jeszcze, że był emigrantem, a w Castel di Poggio mieszkał z żoną i synem Bolesiem.

67. Borejko (Chodko-Borejko).

Zapewne Wacław, marszałek powiatu Rowieńskiego, autor pamiętników o Wołyniu wydanych w „Pamiętnikach domowych“ Michała Grabowskiego (Warszawa 1855), gdzie też znajdziesz bliższe o nim szczegóły. Był przyjacielem Czackiego, pomagał mu w zbieraniu funduszów edukacyjnych, — przez długi czas gorliwie się zajmował wychowaniem publicznem na Wołyniu.

Kraszewski w swoich „Okruchach“ wyraził się, że „stan szlachecki na Litwie dopiero na sejmie horodelskim emancypowany został“. Zapatrywanie to niepodobało się Borejce i w nader obszernym liście pisanym 15 stycznia 1845 ze wsi Motowidłowska (pow. wasilkowski gub. kijowska) starał się udowodnić, że szlachta litewska istniała jeszcze przed Unią i miała swe znaki rodowe. „W tej materyi przed pół wiekiem zastanawialiśmy się z Czackim i nad ogólnym rodowództwem obu narodów sąsiednich, jakoteż nad znaczeniem herbów“. Cały list jest pełen cytat z kronikarzów, z Lelewela a nawet z Biblii i Cycerona. Dowodził też Borejko, że „ród Chodków, Chodźków i Chodkiewiczów Borejków, z trzech familii jednego szczepu składający się, miał już swój herb przed Unią nadany“. — Drugi list tegoż Chodki-Borejki w tejże samej materyi pisany, składa się przeważnie z cytat z Voluminów legum.

Sądząc, że treść obu tych listów może mieć wartość choćby o tyle, że wyrażają one poglądy z przed lat kilkudziesięciu na początek szlachty litewskiej, prosiłem uczonego prof. Franciszka Piekosińskiego, aby wskazał mi łaskawie czy i które ustępy z tych listów zasługują na przytoczenie. Prof. Piekosiński udzielił mi jednak takiej opinii o poglądach i wywodach Borejki, że przechodzę odrazu do dalszej korespondencyi Kraszewskiego.

Po kartce **Michała Boreyszy** obywatela powiatu Prużańskiego, który prosił Kraszewskiego o „naznaczenie godziny łaskawego przyjęcia“, następuje w porządku alfabetycznym list

68. Adolfa Dunina Borkowskiego.

pisany z Woliczki 26 marca 1859. Borkowski przez kilka miesięcy miał „najszczęśliwsze chwile“ korzystając z „bliskiego towarzystwa „Kraszewskiego w Żytomierzu. Prosił Kraszewskiego, aby go odwiedził w Kisielach i przesyłał następującą wiadomość o bibliotece po Kołłontaju. „Wspominałem Szanownemu Panu, że w sąsiedztwie mojem znajduje się Biblioteka po Kołontaju, która po jego śmierci dostała się Antoniemu Jurkowskiemu, po tego śmierci Pawłowi, jego bratu, a następnie ich synowicy p. Janowej Popławskiej. Są to zapewne brylanty dla znawcy, ale któremu z przeznaczenia wypadło chodzić za pługiem Ojca co mogłem niewprawnym umysłem zrozumieć to daję swą opinię. Biblioteka w Strokach może się rozłożyć na dwa oddziały: 1) Odnoszący się do prawoznawstwa powszechnego; 2) Do prawoznawstwa Polsko-Litewskiego. Przyczem zawiera oddział ksiąg

odnoszących się do historyi krajowej i obcej. Z ksiąg zaś odnoszących się do nauk umiejętności i sztuk w ogólności posiada Encyklopedyę francuską w 18 wieku ogłoszoną. Przyczem ma herbarz Okolskiego i inne. Też Kodex Dyplomatyczny Dogiela.

(C. d. n.)



RECENZYE i SPRAWOZDANIA.

Józef Weyssenhoff. *Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego.* Warszawa. Gebethner i Wolff. 1898 str. 377.

„Satyra czy powieść?“ zapytuje p. Matuszewski w *Tygodniku ilustrowanym* przystępując do rozbioru książki p. Weyssenhoffa. Ani satyra ani powieść, ale utwór bardzo ciekawy, napisany świetnym, błyskotliwym piórem, z ogromną znajomością rzeczy, doskonały dokument dla badacza naszego społeczeństwa wogóle, a śmietanki towarzyskiej w szczególności, bogaty, umiejętną ręką nagromadzony materyał, mogący być zużytkowany przez powieściopisarza do powieści, przez satyryka do satyry. P. Weyssenhoffowi brak temperamentu, ognia, rwących porywów i wulkanicznych wybuchów, nienawiści do złego a płomiennego ukochania ideałów, wszystkich tych zalet, bez których obejść się nie może pisarz-satyryk, a z drugiej strony, siły rdzennie twórczej, tej siły, która pomysłom nadaje kształt życia, wznosi wyniosłe, piękne harmonijnie, doskonałe w całości i każdym szczególe budowy artystyczne dzieło Twórca rzetelny przy tak znakomitej znajomości opisywanej sfery, przy takiem bogactwie głębokich spostrzeżeń, z taką bystrością psychologiczną, dał by nam powieść porywającą, pełną życia i prawdy, i tak spotęgował złudzenie, że czytelnik rozstałby się z książką pod niedającym się strząsnąć a będącym najlepszą miarą wartości utworu wrażeniem, iż się takich ludzi rzeczywiście znało i widziało, iż życie opisane było prawdą, a świat, realnie nas otaczający podczas czytania, — przywidzeniem zmysłów, — gdy p. Weyssenhoff rozsypał rzeczywiście hojnie i ze wspaniałą niedbałością tylko garść cennych świecących okruszyn, niby kawałki kosztownej wazy, z których każdy jest ułamkiem namalowanego na naczyniu krajobrazu. Utwór swój od powyższych zarzutów mógł jeszcze p. W. uratować, zrobiwszy zeń satyrę; wówczas nie wymaga się doskonałej budowy, rozmiaru i harmonii, tak samo jak nikt, patrząc na płonący dom, nie będzie ganił jego stylu: ogień strzela ku górze potężnym słupem, gorąco-żółtą pochodnią, chwieje się na wszystkie strony, sieje spustoszenie, sypie iskry i każdego mimowoli ogarnie przed tą siłą zdumienie i podziw, ale i ognia, jak rzekliśmy już wyżej, brak p. W. Przechadza się przed czytelnikiem w wykwintnej szacie wytwornego stylu, z lekceważącym znudzonym i znużonym uśmiechem na twarzy i cichym, czasami trochę apatycznym, ale zawsze kulturalnym głosem opowiada czytelnikowi, tu i owdzie przerywając mowę giestem zniechęcenia, o Podfilipskim i warszawskim towarzystwie. Słuchamy z zajęciem, bo jeszcze nie zdarzyło się nam rozmawiać bodaj z człowiekiem tak dobrze wychowanym a tak znającym salony i boć przecie zawsze przyjemnie posłuchać o tym, co się dzieje za pałacowemi drzwiami; żegnamy się z szacunkiem, ale i opowieść i opowiadającego zapominamy prędko. Czy Zygmunt Podfilipski jest typem, uosobieniem arystokracyi, wytworem warunków życia tej warstwy i naszej kultury, czy może o sobie jak Płoszowski powiedzieć: imię moje legion? Nie, bo według własnego przekonania, według rozumienia autora, zdaniem wreszcie czytelnika, przerasta swoje otoczenie jak obelisk. Za rozumny, za wykształcony, zanadto wreszcie stylowy, mało ma wspólnego z otaczającym go światem, nie jest jego wytryskiem ani rdzeniem, bo w organizacyi Podfil. psychicznej są składniki, których brak tej masie, ponad którą wystrzelił z tak wspaniałą potęgą i przeciwnie niema pierwiastków, właściwych ogólnemu ogółowi. Ten człowiek za wiele myśli i zanadto niekiedy rozumie, a każdy z czynów swoich i poglądów powiązał w pewien bardzo logiczny i wyrazisty a dosadny systemat, gdy tam, t. j. śród towarzystwa każdy przędzie w cieplarniach przepychu i wykwintu swoją tkaninę pajęczo-wątłą i misternie-jałową nieświadomie z odwiecznego przyzwyczajenia i żywiołowego nałogu. Podfilipski jest brudnie egoistyczny i bezczelnie cyniczny w swojej bezwzględności samolubnej, a ci wszyscy, których chciał reformować i dostroić do harmonii z wzorami europejskiego wielkostylowego użycia, nie czynią nic krzyczącego, nie znoszą barw jaskrawych w żadnym kierunku ani biało-niebieskim idealnym ani też w żółto-brunatnym złego (proszę mi wybaczyć to dekadenckie koloryzowanie cnót). Przeszedł niezrozumiany ani śród swoich, ani śród klas społecznie pracujących, tak samo jak wynurzył się niezrozumiały dla większości czytelników w biografii p. Weyssenh. bo nie będąc uosobieniem arystokracyi nie jest też typowym okazem człowieka schyłkowego, jak np. Płoszowski, który tak doskonale skupił w sobie słabości i bogactwa osobnika naszej kultury dzisiejszej, że każdy w nim siebie odnalazł i tak się nim lubował, jak znakomitym portretem, odpowiadającym wymaganiom tainowskim od sztuki, bo potęgującym, wzmacniającym typowe cechy jakiegoś zjawiska życiowego. Podfilipski zbyt ukochał stylowość życia europejskiego, aby nie był nam wszystkim obcy; związany mniej albo więcej z glebą ojczystą, niema nawet żadnych w sercu z tych bolów, które są bolami naszemi, albo bolami człowieka w ogóle. Tą ostatnią uwagą nie myślę bynajmniej czy-

nić autorowi zarzutu za to, że zrobił bohatera swego takim a nie innym; owszem Podfilipski egoista jest życiowo i klasowo społecznie prawdziwy, gdy serce czujące i cierpiące skaziłoby w zupełności postać, która bądź co bądź taka jaka jest, jakkolwiek nie może być nazwaną typową dla sfery środowiskowej, ani dla szerszego odłamu powszechnie ludzkiego w pewnej chwili dziejowej, bez wątpienia nie stanowi wyjątku, wymyślonego jedynie przez chorego na delirium tendencyjne autora. Owszem wdzięczni jesteśmy p. Weyssenhoffowi za tę książkę, nasuwa bowiem czytelnikowi wiele myśli o tym tłumie, który Podfilipski przerastał na wysokość piramidy, daje bogaty materyał a bardzo cenny, bo oparty na doskonałej znajomości, dla rozumowań na temat o przyszłości i teraźniejszości arystokracyi; całym zasobem włożonych w książkę spostrzeżeń znakomicie wzmacnia poglądy, wyrobione już dawniej na podstawie innych podobnych utworów, lub też badań prawdziwego życia. Wszystko co p. Weyssenhoff pisze o Podfilipskim samym, jest niezmiernie ciekawe, bo jest trafne. Podfilipski w tej biografii powieściowej występuje nie jako nieboszczyk, wskrzeszony mniej albo więcej barwnie, zależnie od talentu autora życiorysu, ale jak człowiek żywy, a dusza człowieka żywego niepapierowego, to bodaj najciekawsza rzecz dla każdego, co myśli. Ale już nietylko ciekawe ale i bardzo cenne są kartki książki, poświęcone malowaniu całego towarzystwa. I znowu tylko luźne sceny i obrazy, nie całość satyryczna, nie jedno duże płótno, na którym by umiejętna ręka twórcy zgodnie z prawami perspektywy i wogóle techniki powieściowej ustawiła cały ten bawiący się i szumny, a płytko toczący się falą świat, po przeczytaniu wszakże wszystkich tych, nie wyłącznie Podfilipskiemu poświęconych rozdziałów, zostaje na dnie duszy czytelnika pewien osad gorzki i gryzący, to co zostać powinno, gdy się ma do czynienia z objawem życia bolesnym, a dla serca nienawistnym i gdy się nań patrzało nie z chłodem badacza uczonego, lecz z wrącym w piersi ogniem uczucia. I jeźli wyżej odmówiliśmy utworowi p. Weyssenhoffa miana satyry, to jedną z jego części, tę mianowicie, gdzie się zapoznajemy z tak zwanym towarzystwem warszawskim, podnosimy do wysokości doskonałej satyry, bo na cały ten świat, o którym Świętochowski świetnie się wyraził, iż powinien jedynie się zajmować „ustawodawstwem co do kroju fraku“, przez cały ciąg czytania patrzaliśmy mrużąc oczy pogardliwie jak wówczas, gdy się spogląda na coś bardzo małego i mizernego, a z ust jednocześnie nam nie schodził uśmiech zjadliwy. Jeśli to leżało w intencyi autora, to osiągnął zamiar swój znakomicie. *Kazimierz Zdziechowski.*

Dr. Wilhelm Bruchnalski. *Kilka motywów ludowych w poezyi Mickiewicza.* (Odbitka z tomu VI. „Pamiętnika“ Tow. lit. im. A. Mickiewicza).

Zaszczytnie znany z wielu cennych prac o Mickiewiczu nasz krytyk, — postanowił „okolicznościowo tylko poruszyć kilka dotąd nieporuszanych szczegółów“ tyczących się stosunku poety do niewyczerpanej skarbnicy legend ludowych, dorzucić parę uwag do genezy „Lilij“, „Renegata“, „Rybki“ i fragmentów pierwszej części „Dziadów“.

Z pośród motywów w „Liliach“ przez nikogo dotąd niepodnoszonych, — wskazuje szan. autor motyw mordu spełnionego przez „panią“ na mężu, a raczej charakterystyczne zapytanie skierowane ku niej przez nieletnie dziatki tuż po dokonanym czynie:

„Stoją dzieci przed bramą,
„Mamo — wołają — mamo!
„A gdzie został nasz tato?

Nie bardzo tak znowu odległym jest wpływ o żonobójcy z pieśni białoruskiej, który powróciwszy do domu — bez żony — najspokojniejszy na pozór — zostaje zaskoczony przez dzieci pytaniem nie w inny sposób skonstruowanem, jak to widzieliśmy w mickiewiczowskiej balladzie:

„Stali dzietunki pytacisia:
„Ach nasz tatuńka,
„A jdzie nasza mamuńka?

Na pierwszy rzut oka z porównania stylizacyi tych pytań można poznać, że poeta nie skąd inąd je wziął, nie na innym urobił je wzorze, jak tylko na jakiejś podobnej pieśni ludowej. Wykazawszy dalej, iż ballada „Renegat“ powstała 11 września 1824 roku, stara się dr. Bruchalski podciągnąć ją pod jeden strychulec z analogiczną pieśnią krążącą wśród wielu okolic, której treścią porwanie dziewczyny przez Turków do jasyru. Tu zostaje ona w haremie; kiedy jednak po wielu latach matkę jej również zabrano — zostaje ta „turkini“ poznana przez starą po znamieniu na ręku. Taka jest osnowa pieśni i co prawda widać pewne analogon między nią a balladą Mickiewicza, — trudno atoli zgodzić się z przypuszczeniem, ażeby podobieństwo to nie było przypadkowem; niepodobna sobie wyobrazić, ażeby Mickiewicz mając już zadany tej samej treści temat do improwizacyi, mógł równocześnie zapożyczać się z pieśni ludowej, gdyby zaś tak było, to analogiczna pieśń ludowa byłaby z pewnością silniejsze po sobie pozostawiła ślady, aniżeli to podobieństwo w głównych zarysach treści, która zresztą była mu z góry wskazaną.

W dalszym ciągu przytacza dr. Bruchnalski prototyp „Rybki“ — w jednej z białoruskich bajek, która jak sam zauważył „najbardziej jest zfiliowana“ z odpowiedniemi zwrotkami mickiewiczowskiej ballady i „to nietylko pod względem treści, ale także pod względem takiego szczegółu, jak wprowadzenie do akcyi wiernego sługi, który w skazce ludowej przybiera postać prozaicznego lokaja“. Mojem atoli zdaniem właśnie lokaj występujący w tej bajce służyłby za dowód, iż jest on niczem innem, jak tylko dowodem oddziaływania Mic-

kiewicza na opowieści ludowe, w żadnej bowiem z analogicznych podań na temat „Rybki“ — nie znajdziemy tego sługi, zawsze wół lub jakie inne zwierzę niesie na rogach dziecię do rzeki, by je matka nakarmiła, że zaś nasz poeta wywarł pewien wpływ na lud — dowodem tego opowieść o „Świtezi“ zapisana w ks. Poznańskim, nieróżniąca się tak aż bardzo od ballady pod tymże tytułem.

W końcu ustęp jeden z „Chóru młodzieńców“ z I. części „Dziadów“ zamyka tę rozprawkę niezwykle sympatyczną, zarówno swoją treścią, jak nie mniej i świetnym sposobem traktowania rzeczy — niestety u nas tak zaniedbywanej uporczywie.

Stanisław Zdziarski.

Rolle Michał, Ateny wołyńskie. Szkic z dziejów oświaty w Polsce. Lwów, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta, 1898 str. (1—4), 1—397, (1—2).

Praca powyższa drukowała się najprzód w *Przewodniku naukowym i literackim* we Lwowie p. t. Krzemieniec, a następnie ukazała się w odbitce z tytułem przemienionym: Ateny Wołyńskie. Ponieważ autor zajmuje się głównie szkołą krzemieniecką, przeto oba tytuły wydają się nam niewłaściwe. — Streszczać pracy p. Rollego nie będziemy. Czytać może ją każdy, bo czyta się dość gładko a miejscami budzi nawet wielkie zainteresowanie. Swadę literacką autorowi przyznać można bez wahania.

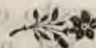
Było zamiarem autora wydać w dziewięćdziesiątą rocznicę otwarcia gimnazyum wołyńskiego pracę, któraby innych zachęciła do napisania jej wyczerpującej monografii. Cel ten osiągnął p. Rolle w zupełności, owszem dodajemy szczerze, że szkic jego, jak skromnie studyum swoje charakteryzuje, jest dobrym w tym kierunku przyczynkiem. Główną zasługą autora jest skrzętne zebranie i racyonalne ugrupowanie materyału dziejowego, po który sięgnął nietylko do literatury drukowanej, lecz także do źródeł rękopiśmiennych. Z ważniejszych pominiętych źródeł drukowanych wymieniamy tylko Raport wizyty generalnej ks. Szczepana Hołowczyca z r. 1782, wydany przez dra Wisłockiego w „Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce“.

Nie możemy natomiast przyznać autorowi zasługi, że obfity materyał wszędzie należycie obrobił. Najgorzej pod tym względem wypadł rozdział drugi, w którym mowa o przygotowaniach i projektach rozmaitych. Są jednak rozdziały, którym z tego tytułu nie czynimy żadnego zarzutu.

Rezultaty naukowe, osięgnięte przez autora, o ile są nowe i mniej dobrze znane, przyjmujemy bez zastrzeżeń. Niektóre dotąd sporne kwestye rozwiązał autor trafnie, jak np. sprawę nieobecności Kołłątaja przy otwarciu szkoły w Krzemieńcu, oraz fakt przemilczenia nazwiska jego przez Czackiego w mowie inauguracyjnej. Są jednak w pracy niektóre szczegóły, na które się zgodzić nie można jak np. twierdzenie, że pierwszy okres dziejów oświaty na Rusi trwa od Włodzimierza W. aż do „wkroczenia Jezuitów na Ruś w r. 1612.“ Autor myśli widocznie o oświacie ruskiej, a w takim razie pominął całkiem wcale poważny rozwój szkół cerkiewnych w XVI. wieku. O oświacie łacińsko-polskiej przed osiedleniem się na Rusi OO. Jezuitów nic zgoła nie wie. Okres pierwszy przyjmuje zatem autor na chybi trafi.

Obok bardzo poważnych rezultatów, osiągniętych przez p. Rollego, są w pracy jego znaczne braki, z których sobie sam zdaje sprawę. Autor nie chciał widocznie zapuszczać się w gruntowny rozbiór projektów edukacyjnych Czackiego, a zatem nie mógł powiedzieć, co jest w nich oryginalne a co naśladowane. I kwestya podręczników, używanych w szkołach wołyńskich, nie doczekała się w pracy p. Rollego dostatecznego i stanowczego załatwienia. Brak też w niej wyczerpującej charakterystyki zbiorów naukowych krzemienieckich.

A. K.



Ludwik Uhland.

MICKIEWICZ.

An der Weichsel fernern Stande
Tobt ein Kampf mit Donnerschall.

Na dalekim Wisły brzegu
Wre zawzięcie bój gorący,
Aż do kraju niemieckiego
Leci odgłos strzałów grzmiący.
Oręż szczęka, kosa dzwoni,
Z szumem wiatru pieśń spłynęła,
Pieśń bojowa z orłem w dłoni:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

Ucho nasze szmery łowi,
Oddech piersi w sobie tłumią
Ciszą pole nam odpowie
Fale wody głucho szumią.
Tylko — jakby śmierci tchnienie
Przez pustynny ugór płynie
I jęk leci na przestrzenie:
„Polska! Polska! pada... ginie!“

Cisza mogił... Duch zamiera —
Wtem — buchnęła pieśń na lutni...
W niebo fala rośnie, zbiera,
Wznoszą serca bardzo smutni.

Kraj — co rodzi mistrze, dzieła
Zrywa pęta! duchem dzielny!
Polska jeszcze nie zginęła!
Mistrz mnie mówi nieśmiertelny.

A. Bandrowska.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca:
Kazimierz Bartoszewicz.

Do nru dzisiejszego dołącza się dodatek.

Aureli Urbański.

„WARCHOŁ“,

(poemat desperata).

PIEŚŃ WTÓRA.

Warchoł.

XV.

Bo żem ci warchoł — nie wyprę się chyba,
Między wyroczne wciskając się męże;
I szczękam nieraz, jak w ołowiu szyba,
Szaty drę w skrusze i „peccavi“ rzężę;
Lecz choć przezorny ostrzega Akiba:
„Zgubion, kto Mocnych wyzywa oręże“ —
Zanim strumieniem łez me stopy zroszę,
Pozwólcie... poprzód nałożę kalosze.

XVI.

Warchołem ja'm ci — boć mi zaorano
Mój smętarz, kości wymiotłszy za płoty;
Bo srom mnie pali, gdy błockiem i pianą
W pomordowane bluźdżą patryoty;
Bo mieć Ją wolę, Ją, Ukrzyżowaną,
Trupem, niż ścierką dzikiego despoty;
A że'm w miateży Boga-Ojca, Syna
I Ducha wierzył — ciężka moja wina.

XVII.

Warchołem ja'm ci — bo szaleństwa bliski
Gdy bluźniąc przecie do krzyża się garnę,
Nie zdoła „bytu“ nędznymi ogryzki
Skusić mnie widmo czcze, utylitarne...
Choć w czarki brzęka i podpycha miski,
Roić ja wolę, snuć nadzieje marne,
Na gołoledzi z kart budować zamki,
Niż snów się wyrzec — syt — u pańskiej klamki.

XVIII.

Warchoł i rufian — duch mi dęba staje,
Gdy z dziejów bagnisk swęd zawionie zdrady,
Gdy caryc zwietrzy spodlone lokaje,
I zmaślaczone Targowiczan ślady,
I rozpasane w deljach one zgraje,
I Matki ciało drące ścierwojady —
I plunąć radbym w służki i w Repniny;
Ogrom spluwaczka! Zabrakłoby śliny.

XIX.

I trzykroć rufian — odrazą się wzdryga,
Gdy zagrobowych, głuchych jęków echa
Cnych przeżuwaczy zahuczy mi liga
Bankietów zgiełkiem... Wciąż jej skrzypi wiecha
Obcych garkuchni — i wciąż się prześciga
W paktach — i sakwy wciąż strzegąc i miecha,
Gadziną syczy — w norach zaś kazamat
Straszny, podziemny rozgrywa się dramat.

XX.

Jeśli cię pokus szepty nie uwiodły
Boś werbowników nie poił się winem,
Jeśli świętemi nie kupczyłeś godły,
Czyś to jest chłopem, czyś jest karmazynem,
Niechbyś Ją wskrzeszał wedle własnej modły —
Psem ja-ć nie będę, ani Jakobinem;
Kąsać cię nie chcę, ani ostrzyć noży —
Boś ty mi bratem. Pokój tobie boży!

XXI.

Lecz kto pod katów czołgając się stopy,
Narodobójców złe uprawnia żądze,
Ostatnie Wiary rozsadza okopy,
Ostatnie Jutrzni zatrzaska wrzeciądze;
I zdzierce wielbi w oczach Europy —
Wrażem go sercem, nie braterskiem, sądzę.
Warcholstwa szatan targa mną rogaty,
Krew burząc Lacha — a żółć demokraty.

XXII.

I krew ta kipi, od waru gorętsza,
I żółć ta wzbiera, piecze, oczy żre mi,
I czarna w duszy powódź mi się spiętrza,
I furji wściekłość tarza mną po ziemi...
Jak rzeźnik radbym wpruć się im do wnętrza,
Pięść w trzewia wrazić — i zatargać niemi,
I do rozkłutych zajrzeć radbym czaszek,
Czy w zdrajców mózgach jest... sumienia łaszek?

XXIII.

O Matko! Twarde całuję Twe pęta
I płacz mój tłumię u zwiędłego łona.
Wyschłe twe piersi wilcze ssą szczenięta,
A ich łąteczką zdarta Twa korona...
O Ty, bez Nieba okrawka — Wyklęta,
O Ty, bez ziemi strzępka — Wywłaszczona,
Niech łez Twych jady, tych ssących, dosycą.
Kocham Cię Matko — nędzna niewolnico.

XXIV.

Kocham Cię, Matko, gdy bolem wspaniała
Wpitemi w kości potrząsasz kajdany;
Kocham, gdy strupy oddzierasz od ciała,
By katom świeże urągały rany;
Kocham, gdy-ć oko płomieniami pała,
A od Twych kopnięć drżą więzienia ściany;
Kocham — ach, boś mi nad zbawienie droga,
I w śmierć nie wierzę — i w bezsilność Boga.

XXV.

Lecz jeśli Grachów macierz, i Judyta,
Barwiczką krasi posiniałe lica,
I uśmiech kłamie, zalotna choć bita,
I baty liże, jak spasiona lwica,
I skomląc, w twarzy pana swego czyta,
Jak za pieniądze kupna nałożnica —
Ohydnieś wstrętna... oh, i gardzę płochą
Nie już jak matką — ale jak macochą.

Od Wydawnictwa.

Z powodu zajęć w komitecie nadchodzących uroczystości mickiewiczowskich w Krakowie, którego to komitetu referentem jest redaktor naszego pisma, wyjście numeru niniejszego *Przeglądu* uległo znacznemu opóźnieniu a nra 12 i 13 wyjdą razem w początku lipca.

W drukarni A. Koziańskiego w Krakowie.